

EOKUŃ. 1903.

155. wzor. wszystkie okładki drugiej oprawić tak jak ułożone

IX.

CHIMERA — 25.

TREŚĆ

TOM IX. ZESZYT 25. — X/MCMV.

Autolitografię okładkową odbito w sześciu kolorach w zakładzie W. GŁÓWCZEWSKIEGO w Warszawie.

Klisze rysunków wytrawiono w zakładzie TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW w Warszawie.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie:
tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę i autotypie — TOMASZ STANKOWSKI
Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

CHIMERA.



TOM DZIEWIĄTY. — X/XI/XII 1905.
WARSZAWA — NOWY ŚWIAT, 22.




1901

Pociecho moja ty, książeczko,
pociecho smutna;
nad małą siedzę schylon rzeczką,
z wód igrające falą dziecko,
żal mroku skrada się zdradziecko
nad łąkę, rzeczkę, nad mój strumień,
w duszącej mgle nieporozumień
zapada noc okrutna.

Pociecho moja, straszna nocy,
pociecho smutna;
nad wielką siedzę schylon rzeką,
wód pędem chyżym fale cieką,
wiary potęga rośnie w mocy,
nad rzeką, łąką, nad polami,
nad borów rzeszą, nad mrokami
noc gaśnie w zorzach,
w świtach, błyskach,
i słońce wstaje na przestworzach,
słoneczna moc okrutna.

Pociecho moja, dniu słoneczny,
pociecho smutna;
nad morza siedzę fal roztoczą,
wiara nade mną w niebios kręgu,

widzę te fale wód, jak biegą
we sprzęgu wałów, w brył rozprzęgu
w górę się piętrzą, w doły legą,
jak nowe fale znagła kroczą,
a jedna dola im okrutna.

Pociecho moja, księgi moje,
schylony w karty księgi patrzę,
od kart tych patrzę w wód rozwoje,
z ksiąg karty rzucam w fale twoje,
o morze, morze, wód olbrzymie,
a tylko fal powrotne rzuty,
w czas wód rozgwaru, w wód skłębieniu,
na brzeg rzucają, kędy siedzę,
z ksiąg, co przepadły w zapomnieniu,
wydarte z kart tych moje imię,
nic więcej tylko własne imię.
Znikąd okrętu, znikąd łodzi,
a rośnie fala powodzi,
ha! tam! — jest łódź! — tam — ktoś — przewodzi,
tam, na dalekim kresie,
o, bliżej, bliżej, już — fala go niesie,
to nie powódź — to przypływ — wał bije,
jęk złowrogi — ha! mordują — orkan wyje — — —
Gdzie łódź?! czy fala schłonie ją okrutna —?
o księgo — — oczy patrzą — w wód roztoczy
o księgo — serce — oczy,
pociecho smutna.

Dnia 1-ego marca 1905. Stanisław Wyspiański.

POWIEŚĆ

O UDAŁYM WALGIERZU.

PRZEZ

STEFANA ŻEROMSKIEGO.







I.

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają, — oparły się wozy królewskie. Ustały zgonione konie, zarznęły się w piasku skrzypiące koła. Każe król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwisła ciężka, złota frendzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną na żerdzi głęboko wkopanej szeleści plemienna stannica, królów wojenny proporzec. Czterdzieści wnet stanęło stołów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: pieczeniagi i waregi, czechy i morawy, za złoto żołdu zdradzające swój ród nemety, sasy, bawary.

Na siedzisku wyniosłem rozparł się król. Szkarłat rodowy piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko-daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi. Cieszy się król.

Pierwszy to raz od tylu czasów wielki rostruchan podnosi. Bezcenne migają kamieńce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino z za gór, z za światów. Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w ląd i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw — białe morze. Pod sinem, dalekiem niebem chluszcze bryzgami fal, na niskie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiater słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

— Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna, moja! — woła w płaszczyznę ziemi.

— Pieśni! — wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumu, gdzie czeladnicy, pachoły i posługacze wojenni, spomiędzy chorągwi chłopskich — starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą wokrąg. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojnopamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije. A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę niezwyciężony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderza w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębami siwemi, ogień drżącemi jęzory wybucha z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku piersiom szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu jako żyw nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słychać w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenice.

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów nieznanemi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach pośrodku bagien i w tynach nad słodkiemi wodami, gdy się z najeźdźcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głownię mieczową. Krwawemi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach. Nagle się uczta przerwie. Jeden drugiego pyta: czemuż to władacz sposępniał?

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na grajki.

— Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca straszliwego koncerza. Wstaje olbrzymi. Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kutta, koszula pancerna, lśni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz wraz szczęka.

I słowo wieszcze pada w tłum:

— Słuchajta! Wodze, namiestnicy, i wy, chorągwie! Na śmierć piję sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Abym ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckiem zegadłem wyźgał, żeleźcem grotów przebódł, garścią zemściwą pociemku wydusił. Ziemią nagłym pożarów zagonem wiecznie za nimi chodźmy, rzekami będziewa tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliszcza do ostatniej przyciesi...

Okrzyk:

— Na śmierć sasom!

— To wam zapowiadam wszem wobec: nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek niemców do-

padnę — w kraju dziadoszan, czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich korazuny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczach, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnemi leży pfalcgraf Burkhard i margraf Gero. Nie zazna czci, ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwalonych rycerzy! Niech zgniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyle! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A ktoby się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego — biada mu!

Wołanie:

— Biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasać sprzączki skórzanych tłumoków i wywalić przed bracią wojenną zgarniony za Odrą łup. Sam rzuca w ciżbę głębokie czary i krużе ze złota, rogi i kielichy, sadzone parangonami bezcennej wody, dzbany z kryształu przejrzystego, jak woda, greckie amfory i szkatuły niemieckich majstrów cudnie w metalu kowane. Między srogie zastępy, w krzywoślepą hordę pieczeniagów każe nieść w darze italskie arbalety, cisowe kusze, zaciągane lewarem z żelaza, hiszpańskie tarcze i krótkie piki. Pieszym chorągwiom chłopów, odzianym jeno w serdaki a czuje, w szłyki z rogami i kły, uczynione z obłupionych łbów dzików i turów, wilków i lisów, uzbrojonym jeno w oszczepy z osękami, w rogaciny, w kamienne oksze na długich styliskach, a wielkie na chłopa pawęże, szczodrze rozdaje czekany, barty i obuchy z żelaza, cepy kolczaste, smycze i arkany z surowego rzemienia. Konnym swym wojom każe nieść wielkie, obosieczne koncerze, radość serca męskiego, i cudne kapaliny z połyskliwego żelaza, miedziane nagłowne

myśnice, czepki kolczate, rękawice, płachy przedsobne i zasobne pancerzów. Rotom drabów najemnych sypie bez liku, garściami, srebro i złoto denarów kupieckich. A gdy tak szczodrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług do ostatniego pacholęcia, słychać od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z brodów orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąża. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzenie.

Aż znagła wstał.

Ciężko po stopniach idzie z tronu.

Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór, jakoby obłoki na czubach krzesanic, chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepia patrzały zuchwale z widzierów hełmowych. Każdy miał prawicę żelazną na klindze miecza, a lewicą ściskał rękojeść mizerykordyi. Ze środka ich, jakgdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawemi oczyma, z twarzą wykrzywioną od boleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet blada trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat-doradzca przysunął się do pańskiego boku i szepce:

— Panie!.. Bacz... Święty człowiek idzie przeciwko tobie.

— Tenże to z Myśny?

— On. Patrz, płacze.

— Czegóż płacze?

— Płaczek on boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosy. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie. A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płotem z tarniny, żeby go kolce wyrywały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badylów róży dzikiej. Za dnia, gdy nań nie patrzy nikt, wdziewa na głowę mitrę biskupią z pnia drzewnego uciosaną, na której ze wszech stron ciężkie zawiesza kamienie.

— Czemuż to czyni, powiedz?

— Żeby go, panie, biły po głowie, gdyby się o sprawach żywota ziemskiego zadumał. Patrz, wielki królu,— na tobie zbroja złocona z łusek stalowych na skórę nieprzebitą naszytych, pod stopą twoją szkarłat bezcenny. A na nim gałgan zetlały! Wiedz o tem, panie. Zanim, posłuszny woli cesarskiej, po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetarł i, w otwartych wieczyście ranach, gołych wnętrzności dotykał.

Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

— Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną.

Szepce opat do ucha monarchy:

— Panie, ach, panie!..

Patrzy król pod przyłbice, w zawarte maski onego towarzyszów lwiemi oczyma. W oczy ich patrzy ze straszliwym uśmiechem, jak między żelazy goreją.

— Wydam ci ciała poległych: z chwałą je chowaj w tej ziemi.

Pomruk złowrogi w drużynie. Spinają sprzączki żupic pancernych. Mocno przypasują obojczyki i blachownice, zarękawia i fartuchy kolczate. Nisko spuszczają przyłbice, żeby ocienić lica nanośnikami. Trzask słychać mieczów i pobrzęk cięciw. Pomruk głośniejszy w drużynie. Gwar.

Schyla się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla.

Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem. A gdy komornik spuścił za nimi zasłonę, rozejdzie się w obóz drużyna z gwarem złowrogim, z szeptem zemściwym. Zostali jeno na placu czterej.

Stoją w hełmiech zawartych. Jeden ma kamail na głowie, szyszak z nanośnikiem, spadającym aż do brody, drugi i trzeci mają lambrekiny frankońskie. Paiże dzierżą na lewem ramieniu. Na wielkich mieczach się wsparli. Cierpliwie stoją. Długo czekają milczący. Aż ów na czele, którego głowę okrywa olbrzymi gocki szłom, Walgierz o dłoniach potężnych, o udach z żelaza, a kolanach z miedzi, uderzy głośno mieczem w puklerz.

Raz, drugi.

Cisza.

Uderzy Walgierz powtóre, z łoskotem.

Rozdzieliła się złota zasłona. Komornik.

Uderzy Walgierz Udały mieczem w puklerz potrzecie.

Rozdzieliła się złota zasłona.

Król.

Stoi między zasłonami z głową odkrytą, jasnowłosy. Ręka jego za pasem. W oczach zaduma. Patrzy ku czterem.

— Udały... — cicho wyszepta.

Milczą rycerze.

— Słuchasz, patrzysz, mierzysz chytremi ślepiami me

sprawy. Wciąż mrok na twojej twarzy, a chmura na twojem czole.

— Wciąż chmura na mojem sercu!

— Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi. Wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach.

— Dusza się moja wydziera do tyńca, praojcowego dworzyszcza, do stolicy mej ziemi.

— Milcz o stolicy twej ziemi!

— Dawno, dawno już milczę. Nazbyt dawno już milczę.

— Bylebyś nigdy nie zaczął przemawiać o tem, co na wieki minęło. Goście w moim obozie...

— Dziś będę mówił.

— Nie mów dziś nic, koniądzu!

— Dziś będę mówił pierwszy raz i ostatni.

— Pilnujże dobrze głowy!

— Oto me słowo: idę ze stanu z towarzyszami. Niech słyszą niemce, że z obozu twojego wychodzę! W dziedzinę moją, w żupy wiślańskie powracam. Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze puchar rycerski na zgubę rodu sasów. Zaprzysięgałeś pomstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, jużeś się przeląkł haniebnie.

— Sądzisz moje uczynki! Ja wasz jedyny sędzia i wódz! Ja życia i śmierci pan!

Śmieje się hardo Walgierz Udały.

Spojrzą po sobie z żelaznych oknisk wściekłe oczy czterech rycerzy. Milczą żelazne ich usta.

Król rozkazuje:

— Zdemijcie zbroje. Odpaszcie pasy. Złożycie na ziemi paiże, a na nich miecze i włócznie w krzyż.

Spojrzą po sobie powtóre z żelaznych jam okrutne oczy. Milczą żelazne usta. Rozkaz królewski nie spełniony.

Szarpie król pas. Porwie miecz. Klasnął w ręce. Biegnie ku niemu komorzych tłum.

Rozkazał:

— Trąbić!

Zawrzasną rogi. Biegnie rycerstwo. Trzepie się ręka królewska ze stopni tronu nad głowami zuchwałej czwórcy.

Rozkazał:

— Sąd! Szarpajcie ich w sztuki mieczami! Oburącz! Walcie w zdradzieckie piersi obuchy młotów!

Rozruch i zgiełk w drużynie. A porwać za koncerz, za młot nikt nie ma siły.

Nie zadrżał Walgierz Udały i nie uchylił głowy ni jeden z towarzyszów: Mściw, ani Wydrzyoko, ni Nosal wielkoramienny. Stali czterej przeciwko wojsku.

Wokoło żelazny mur rycerskich ludzi. Na silnych koniach kiryśnicy w zbroi zupełnej. Paiże na ich ramieniu rozsiały wszechmocną zgrozę, a drzewa włóczni pod pachami — czyhają. Daleko stanęły seciny pieszych chorągwi. Jasno srebrzone pawęże, wielkie na chłopa, stworzyły równy, śmiercią błyszczący tyn, co idzie daleko, daleko, aż do fal pienistych morza. Glewie dobyte z pochwy czeka na rozkaz, na cios. W słońcu glewie połyska. Napięte są cięciwy samostrzałów.

I rzekł w koło wojenne i w ulicę rycerską gromowym głosem Walgierz Udały:

— Drużyno polska, drużyno bojowa! Schodziłem z tobą, drużyno bojowa, ziemie saskie i ziemie lutyckie. Paliłem z tobą zamczyska i miasta. Tym oto mieczem rąbałem za dnia w boju męże w żelazo okute. Tą oto dagą przeszywałem po nocy serca śpiących. A teraz, słuchaj, drużyno bojowa, szarpie mię słowy król, który me ziemie w szpony porwał. Szarpie mię w sztuki jakoby mieczem, przeszywa uśmiechy piersi moje jakoby puina-

łem. Znieważa król mnie, wiślańskiego koniądza, władzcę na Tyńcu i ponad całym światem rzecznym od niezmierzonych gór po łyse góry, pana wszech puszcz jodłowych aż po mazowszańskich piasków sosny. Bije król słowem twardszem od obucha okszy w piersi Nosala z za Dunajca, Wydrzyoka z za Pilicy i Mściwa z puszczy, gdzie się poczyna w ciemnościach bożych Czarna Nida. Słuchaj mię, królu polski! Mnie wiślańskiego władacza...

— Nie słucham cię, rycerzu Udały. Nie znam twej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, widni świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się władaczem puszcz. Obie oce moje sięgają za łyse i za niezmierzone góry, a ręce moje sięgają w dalekie morawy. Moje są dunaje-wody bystre-głębokie, co ze śniegów się rodzą, i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej płyną niskiemi łąkami. Wziąłem ziemie, które swemi nazywasz, żelazną dłonią. Jam jest jedyny ich odzierżyciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój proporzec, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego plemienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje i nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuistą, rzecz pospolitą...

Woła zuchwale Walgierz Udały:

— Królu polski! wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stannicą. Jestem ci równy i wła-

dzy twojej już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojce moje od początku czasów władały. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściw. Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładzca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się niemców wróża boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!

Jak grom spada z wysokości słowo królewskie:

— Znam ja cię, władzco drewnianego zamczyska, hardy ojcowicu nędznej dziedziny! Widzę na wylot twe myśli. Chodziłeś pod moją sprawą i w cieniu mego proporca na sasy i na lutyckie sioła. Łakome twoje ręce czerpały moje mienie, a oczy zdradzieckie wypatrywały moc moją. A teraz chcesz moc moją w swojem zawrzeć zamczysku, za tynem ją przyczaić i przeciwko mojej pięści wykręcić. Wziąłem cię za gardziel tą pięścią, gdyś był w broni skórzanej, którą ci z turzej skóry ciura uszył, a kowal żelaznemi nabił gwoździami. Teraz odziany jesteś kolczugą z niemieckiej stali, którą z ramienia swego zwlokłem i tobiem z łaski dał. Ale przetnie miecz mój łuski...

— Na głowie mojej szłom pradziadów!

— A ty, Mściw! Ty, Wydrzyoko! Ty, Nosal! Dałem wam miasto wilczych szłyków zbroje rycerskie. Otworzę ja te zbroje nanowo! Znam ja nienasycone wasze gardziele! Znam piersi, pełne szału kłótni, a ślepia chciwe jak u sępów!

Ponuro goreją oczy towarzyszów Walgierza. Ręce ich na głowniach mieczów, na toporzyskach złożone — czekają. Zawarte milczą usta.

II.

Uciekł w noc ciemną Walgierz Udały z obozowiska polskiego króla. Z nim Wydrzyoko towarzysz, z nim Nosal, a także Mściw. Puściła ich straż dodana (rzekomo zmorzona snem), a otworzyła im między hufcami drogę wolną drużyna bojowa (rzekomo otumaniona czarami).

Po mostach zrazu mknęli zbiegowie drewnianych, polską sztuką rzuconych na błota i sitowia, na trzciny, łąki i bagno. Gdy wyszli z obszaru wodzisk kaszubskiego pojezierza, w pierwszych na suszy siedliskach wyprowadzili z za zawor rosłe wierzchowe konie. Odtąd już dniami - nocami pędzili w cwał. Ku ostrowcowi łysych gór, z mazowszańskich równin wyrastającemu, była ich droga. Przeszyli leśne sosnowe puszcze, suche bory i światy piachów, minęli widnie jeziorne, przebrnęli w bród słoneczne rzeki i przesadzili strumienie. Aż ujrzał

Mściw i pokazał daleko sine pasma na niebie. Wparli żeleźca w boki biegunów. Dopadli wskok jodlowych kniej. O ciemnej nocy weszli w nie szlakiem - bezdrożem. Kamień rudy, od wody stoczony z wysoka, zgrzytał pod końskiem kopytem w suchem łożysku ruczaja, kiedy się darli pod górę. Drzewa wielkoliściaste, buki i klony, dęby i jarząby stanęły kołem. Kosmate, czarne ręce jodłowe przywitały strudzone ciała i zgonione dusze zbiegów.

— Teraz, — rzecze jeden, — już my na wiślańskiej, na ziemi. Niechże ta naju szuka polski król.

— Ha - ha!

— Niechże ta szuka pilnie.

Zstąpili nad ranem w nizinę, ku łąkom zawilgłym od niecieczy, a utajonym w jodłowem pustkowiu. Rumiany kwiat górski przed oczyma ich ponadrzeczu strumienia. Zapach niewysłowiony płynie powietrzem. Ptaszęcy śpiew...

Ujrzą z leśnego pobrzeża dolinę rozległą między puszczami. Góry nad nią z północnej strony wielobarwnym lasem odziane, góry z południa. Zachodnie wiatry odgania od doliny niskiej zasłona, jakoby sworzeń górski, a ode wschodu czernieje wyniosła macierz łańcuchów, wszystka w tumanie, we mgle.

Stanęli mężowie w strzemionach, nakryli dłońmi oczy od blasku rannego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą w dół. Góry przed nimi strome, góry okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów, bezgraniczny ciąg puszcz, jakoby dym z ziemi wybuchły, płynie z jednego szczytu na drugi. Tam i sam osłoniona jest ziemia jeno pawłoką brzozowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej, tworząc widok piękności nieporównanej. A jeśli ma być widok jej przyrównany, to jedynie do widoku piękności piersi dziewiczych, gdy się przed stęsknionemi oczyma nagle odsłonią. Aż zakołyszą się od szlochania żelazne

bary Mściwowe. Upadł w szeroką dolinę olbrzymi jego krzyk:

— Dolino moja... Da-dana!..

Spyta Nosal:

— Powiadaj, bracie, miana gór, boć miejsce to nama obce.

— Tam, widzisz, bracie, macierz tych gór, Łysica, w której ciemności bogi mieszkają i skąd czarna woda, Nida płynie. A idzie woda Nida ztela aż do Wiślice, gdzie koniądz Wyślimir włada.

— Koniądz Wyślimir... — śmieje się cicho Walgierz Udały.

— Tamta, widzisz, bracie, siostrzyca—to Strawczana góra, a za nią idzie Bukowa, a za nią idzie Klonowa. Nad siołem mojem włodyczem i nad jeziorzyskiem wielka i święta góra, którą czcili ojcowie, miejsc tych osadźce, — Radgostowa. Strumienie tam płyną z wąwozów leśnych dołami niskiemi w kalinach, w cierniach, w głogach. Słońce ranne szuka tam gwaru wód w głębokich trawach. A w środku owo, co lśni pod słońcem: — woda moja.

— Teraz, — rzecze Nosal, — domowy próg...

— Teraz, — rzecze Wydrzyoko, — zwleczesz, człeku, z ramion, z bioder a z nóg żelazne blachy, zawiesisz na kołku ciężki szczyt, odpaszesz długi miecz od siodła i drzewo sulicy w kącie postawisz.

— Teraz się, — rzecze Mściw, — obleczesz, bracie, w ochopnię domową, albo się w kaftan skórzany odziejesz, i pójdziesz w pachnący las na łów swobodny, na wesoły...

— Albo się w komorze zamkniesz żoninej...

— Każdy o dziedzinę się swoją przecie zatroska, co na łasce byle czyjej została, gdy my światami gonili, żeby w sasa rogacinę ciskać, mieczem go w sztuki rąbać.

— Ej, dzieci!.. Podrosły... świat! Jako też... dzieci?.. Jako też to ze świergoleniem na kolana z żelaza rozzute leźć będą, a wieszać się po ramionach, a włóczyć z kąta w kąt koncerz, co krwi tyle wylał...

Stał Mściwa stary dom, gniazdo pograniczne ziemi, na kamienistym wzgóreczku, przy brzegu wielkiego stawiska. Cztery wielowieczne lipy osłaniały jego czarny, gontowy dach. A z lewej strony skłaniała się ku ścianom przychylnemi konary wielka i bardzo stara grusza. Pień jej był rozsadzony, spękany. Widły konarów osnute małemi liśćmi. W dole ogrodu wyrastał modrzew osobny, uroczy, jasny. Przy drodze dwie wierzby splecione korzeniami, dwa obumarłe kadłuby, dwa puste wewnątrz korzyska, choć toczyły od lat z trzewiów swoich rude próchno na ziemię, to przecie ze ściętych czubów puszczały strzeliste badyle, żeby zaś chłopcom na wiosnę nie zabrakło piszczałek. Nad brzegiem wody wznosiły się niezmierne pnie bez gałęzi. To czarne olchy patrzyły wiecznie w przeczystą wodę. Wielka woda leżała w miękkości pobrzeżnego sitowia, w zielonem łożu roskoszy, które sama sobie stworzyła. Ku niej to biegły z gór parowy i dolinki, o których mówił Mściw. Smugi ich wysłane były cudnością traw, a w nich szemrały ciekoty leśnych strumieni i łąkowych poników. Tam to niepłoszone ptactwo śpiewało dokoła wiosennych gniazd...

Białe wodne lilie otwierały to tu, to tam kielichy na płani jeziornej. Wyniosłe pędy sitowisk schylały się nad ciemnym nurtem rzeki, która w płaszczyznę stawiska wlewała bystre wody. Błękitne ważki na przezroczystych skrzydłach snuły się nad tą ruchomą, wiecznie żywą, nieustanną wodą. Zdyszane od polotów nad głębiami, padały nadobnice piersiami na obły badyl sitowia i bujały pospołu z nim, pracą rannego wiatru kołysane.

Mgły wstawały z topieli.

Mściw stanął pierwszy nad brzegiem. Zapatrzył się, zadumał... Odpasał rzemień szyszaka i odkrył kudłatą głowę. Ponurem spojrzeniem ogarnął towarzysze. Wzniósł dłoń na znak, żeby się żaden nie ruszał. Szepnął z pogańską trwogą:

— Cichajta! Wodnice ze spania wstają...

Wstawały z fal lekkie, śniado-białe zwoje. Nogi ich i powłoki szat jeszcze się kryły w topieli, a jasne kędziory cudnych głów dźwigał pachnący wiatr ponad kępy lękliwej trzciny. W głębokim cieniu, pod urwistemi brzegami, znać było przezroczyste ich ciała, ich zmienne lica i oczy bławe, a już za mgnienie źrenicy stawał się z nich jeno przejrzysty dym — i nic. Śniło się wojom, że z nich to, z mgieł stają się ważki błękitne...

Cofnęli uzdy rumaków i poszli ztela w cwał, pełni dumania i czci. W pobliżu, Mściwa dom czerniał na wzgórzu. Ogromny jego dach i ściany stare stwarzały obraz swój żywy w porannej wodzie. Tyn z wielkich kłód, bitych na pal, a od wnętrza mocno spojonych płatwami, otaczał go ze wszech stron. Gdy mocno wiązane wrota obróciły się na biegunowych wierciejach i przed jadącym zastępem rozwarły, ujrzeli dwór. Stał przed nimi dawny, przedawny, zbity na moc, na siłę, z bierwion, kładzionych w węgły, na wieniec i na zamek. Przyciesie i same płazy były szerokie na cztery i na trzy piędzie, utkane w szparach mchem. Słoty jesienne i zadmy zimowe okryły je rudą polewą.

Zsiadł z konia Mściw. Uderzył radosnym ciosem we drzwi. Wnet się usunął zębaty wrzeciądz bukowy i uchyliły skrzypiące dźwirza, nabite jesionowemi kołkami. Zsiedli z koni przybysze i przekroczyli wysoki próg, schylając głowy pod niskim ocapem dźwirzowym. Stanęli w izbie czarnej, czupryną sięgając dymu, co wałem

w górze stał grubym. Schylili głowy w niskim pokłonie przed ogniem pośrodku płonącym. Skłonili się powtóre z radością i wielką czcią przed ogniem błogosławionym, co na wielkiem palisku z gliny między szczapami smolnemi połyskał. Skłonili się potrzecie przed ogniem wiecznie radosnym...

Obrócił oczy Mściw ku światłu, padającemu przez dym z dziury szczytowej, — i szeptał pozdrowienie domowemu bogu. A pozdrowiwszy domowego boga, starł połą niskie, dookolne ławy z balów cisowych i prosił gości pokornie, żeby zasiedli.

Zdjęli rycerze kolpaki, ściągnęli z ramion blachy ciężkie, odpasali pasy i odsunęli broń. A skoro oczy do mroku domowego przywykły, ujrzeli z radością na ścianach ze smolnego drzewa, które był powlókł dym pokostem ciemnobursztynowym, starą praszczurów broń. Szerokie siekiery z bronzu i krótkie, zamorskie miecze, wielkie rogaciny bukowe i osęki, maczugi - bunkosze, śliskie od wielu dłoni, co niemi władały, szczyty olbrzymie, powleczone skórą zwierzęcą... Przedwieczne tam młoty na styliskach dębowych, uczynione nie wiedzieć przez kogo, za ojców, z głazu twardego kamienia, przeborowane pracą krwawą... Wielkie tam łuki i kołczany, pełne strzał o bełtach krzemiennych i bronzowych, zaprawnych śmierciośnym ciemierem. Na wbitych w szpary kłach odyńców i na rogach turzych, na wielkich widłach jelenich wyświechtane rzemienie, uzdy zeschłe od słot i upałów, siodła, popręgi, kańczugi plecione, pętle i arkany z kręconej skóry, a pieśń śmierci świszczące proce.

Poczną się z komór wychylać głowy nałożnych Mściwa żon, dziewek. Radosny krzyk... Dzieci... Nie szedł ich witać Mściw, gdyż gości gościł. Wnet każe wynieść z lochu miody - lipce, dymione połcie sarnie i dzicze, wnet każe dawać chleby przecudne, słodkie kołacze ze zboża

w żarnach mielonego, co się na niwie przywodnej łońskiego urodziło roku, gdy on daleko wojował.

Hucznie ucztują rycerze. Róg turzy, pełen miodu, z rąk do rąk idzie.

Hucznie ucztują rycerze.

Piją koniądza Walgierza przezdrowie, co ich z obozu, z żelaznej garści królewskiej wydarł. Do dom ich wrócił, do komór żoninych, do kolebek... Chwalą rycerze koniądza Walgierza moc, mądrość, czyn i słowo. Wynoszą go krzykiem pospólnym ponad króla polskiego...

Tęgo a bez rachuby pije Walgierz. Chwali Mściwową dziedzinę. Wysławia ciche dolinki i jeziorzysko, pochyłe, zadumane góry, pole zorane i cichy sad, gdzie białe kwitną wiśnie. Wysławia Walgierz ojce Mściwa i czci ich świętą broń.

Długo trwa uczta, do ciemnej trwa nocy. Aż runął koniądz Walgierz na skóry niedźwiedzie, warstwami w kącie izby usłane. Kamiennym zasnął snem.

A o północku, o pierwszych kurach, padnie zmora na jego chrapiące piersi. Przydusi mu zmora potężne barki, jakoby zbója kolany, a gardziel ściśnie kleszczami. Śni się sen.

Wypływa z pustki nocnej mgła - ważka, łąteczka błękitna, co nad wodami w poranek się unasza, co na badylach nocuje, na liliach wodnych śpi, — boginka cudnej postaci, dziwnej urody. Spojrzał w nią nagle rycerz Walgierz oczyma widzącemi i poznał ją w krzyku radości.

Cudki to żony twarz!

Oczy jej bławe, jak głękokość nieba i jak rozdoły królowego morza. Oczy jej żywe, jak źródlana woda. Rumiane śmieją się usta. Senna roskosz objęła głowę i otoczyła szyję. Roskosz, której słowo nie wypowie a śpiew nie wyda. Wyciągnął rycerz ręce przez sen ku pochyłym narcyzom, co we włosach odmieńki tkwią, ku

róży nieśmiałej na młodych piersiach. Aliści ręce jego wrośnięte są w głębokość ziemi, jak góry ciężkie, jak skały nieporuszone. Wołać na nią, krzykiem wołać!.. Brak tchu. Padła na piersi wieszczyca błękitna, ważka ulotna, w to miejsce, gdzie serce wzburzone huczy. A padła, jakoby złom strzelistej w Tatrzech góry. Poczuł koniądz ból przeraźliwy, bardziej nieznośny, niż od przeszycia nawskróś cienkim italskim puinałem. Pochwycić chce rękę, co mu zadała cios, pochwycić dłonią wojacką, ale jej ująć nie zdoła. Ma ją i nie ma jej wcale. Chwyta ją skurczem śmiertelnym, jakby nadwodną mgłę chwytał. Miota się w męce i strasznie walczy, niby pod nożem skrytobójcy a pod zegadłem siepacza. Aż oto słyszy błękitnej ważki tajny-tajny, do duszy mówiący szept:

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam jest.

— Żono!

— Jużem nie twoja, — mówi, — żona.

Krew w żyłach krzepnie, a serce staje w biegu. Słowa się wymkną spomiędzy skostniałych warg:

— Któżeś ty jest, umiłowana?

— Wróć się, wróć...

— Dokąd mam wrócić?

— Wróć się, wróć...

— Czemu tak mówisz, żono moja?

— Jużem nie twoja, rycerzu, żona.

— Któżeś ty jest, jasnowłosa?

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam to jest dusza twoja.

— Ty jesteś dusza moja...

— Dusza twoja...

(D. c. n.)

„FRANCZESKI Z RIMINI," TRAGEDYI GABRIELA D'ANNUNZIO, FRAGMENTY. WYBÓR I PRZEKŁAD JANA KASPROWICZA.

AKT I.

W dziedzińcu pałacu Polentów, w Rawennie, towarzyszki Franczeski pocieszne — w pierwszych scenach AKTU PIERWSZEGO — z wędrownym grajkiem wyprawiają krotochwile. Grajek, Dżian Figo, zmuszony przez damy o rycerskie potrącać opowieści, przygotowuje czytelnika na przybycie Paola Malatesty, brata i swata Jana Kulawca, który, w zamian za pomoc zbrojną w walce z gibelinami, ma otrzymać rękę Franczeski. Doradcą rodziny Polentów w tej mierze jest chytry notaryusz Ser Toldo, prący do związku nadobnej dziewicy z potwornym Kulawcem (Dżianczriotto Malatesta). Opiera się temu brat jej, Ostazio, albowiem Franczeska

„warta królestwa! Jaka ona piękna!
Nie ma tak prostej szpady, jak jest prosty
wzrok jej, gdy rzuci spojrzenie! A wczoraj
pytała mi się: „Komu mnie dajecie?"
A kiedy stąpa z tym włosem rozwianym,
opadającym swobodnie wkół pasa
i wokół silnych bioder (a jest silna,
chociaż tak blada), kiedy wstrząśnie głową,
to sprawia taką radość,
jako proporzec na wichrze, gdy człowiek

oblega miasto bogate,
z jaśniejącymi szyszaki!
Wówczas się zdaje,
jak gdyby w swoich ręku
trzymała orła Polentów,
aby go nijak sokoła
na łup wypuścić obfity.
A wczoraj mi się pytała:
„Komu mnie oddajecie?“
Ktożby mógł patrzeć na jej śmierć?“

Lecz i on ulega—racyi stanu, tem bardziej, że przyrodni brat jego, bękart Bannino, przynosi wiadomość o klęsce, zadanej Polentom przez Forleańczyków.

„*...co się stanie z madonną Franczeską?*“—pyta Ser Toldo.
„*Tak! będzie żoną Kulawca*“—odpowiada Ostazio, albowiem:
„*Przed nami wielkie dzieło zemsty;*
i łza niejedna, jeśli Bóg pomoże,
spłynie po świecie,
łza bardziej gorzka
niżeli wszelka sól ze żup czerwijskich (zabrana właśnie przez owych
Chodźmy, Ser Toldo. (Forleańczyków).
Chodźmy, Paolo Malatesta czeka...“

Exeunt ambo, a na widownię —

SCENA PIĄTA.

— wchodzi niewolnica z wiadrem i ścierką. Milcząco schodzi bosemi stopami po schodach. Przygląda się kałuży krwi na posadzce i klęka, aby ją obmyć. Z górnych komnat słychać śpiew towarzyszek Franczeski, podczas gdy niewolnica zajęta jest swą pracą.

CHÓR PANIEN.

Oj biada! Poznałam, jak w duszy
nadmiar miłości się pali — oj biada!
Oj biada! Któż mnie ocali,
nim żar ten serce mi skruszy! Oj biada!

Magister Scontrinus drepanitanus sonum dedit.

Z komnat wychodzą i idą lodżią Franczeska i Samarytana, wzajemnie opasawszy się ramionami. Za niemi chór panien z kądzielami i lnem różnobarwnym w ręku. Przystają w lodżii, jakgdyby w kantoryi, podczas gdy obie siostry schodzą ku progowi ogrodu. Niewolnica, zmywszy krew z posadzki, chcąc zataić zajście, wylewa prędko wodę skrwawioną do stojącego w pobliżu sarkofagu z kwiatami.

FRANCZESKA, zatrzymując się na schodach.

To miłość pcha je do śpiewu.

Przechyla głowę nieco w tył, jak gdyby śledząc tchnienie lekkiej, drżącej melodyi.

CHÓR PANIEN.

Oj biada! oj szukam ostoi
przed troską, że serce mi niszczy! oj biada!

FRANCZESKA.

Jak gdyby były pijane woniami!
Czy ty nie słyszysz? Na bolesną ucztę
śpiewają sprawy
przedoskonałej radości.

Odejmuje rękę od pasa siostry, jak gdyby się chciała uwolnić z jej objęć. Staje w miejscu, tamte zaś schodzą.

CHÓR PANIEN.

Oj biada! śród szczęścia zgliszczy
życie goryczą mnie poi — oj biada!

FRANCZESKA w zadumie.

Jako ta woda bieżąca,
która wciąż płynie i płynie,
a oko tego nie widzi,
taką jest moja dusza.

SAMARYTANA w nagłem przerażeniu tuli się do siostry.

Dokąd ty idziesz? Któż mi cię zabiera?

FRANCZESKA.

Przebudziłaś mnie.

Śpiew umilka. Panny podchodzą ku drugiej poręczy łodżii i, plecami zwrócone do widza, patrzą w drugi, leżący pod niemi dziedziniec. Zdają się coś śledzić. Dwurożne fryzury i wysokie kądziele błyszczą w słońcu, a od czasu do czasu od twarzy i sukien płyną w jasną przestrzeń powietrza szepty i szelesty.

SAMARYTANA.

O siostrzyczko, siostrzyczko, posłuchaj:
pozostań jeszcze ze mną!
Pozostań, gdzieśmy wyrosły!
Nie odchodź, siostro! Nie zostawiaj samej!
Pozwól mi moje łóżeczko
ścielić i nadal przy twojem —
niech w nocy słyszę twój oddech!

FRANCZESKA.

Przybył już, przybył.

SAMARYTANA.

Kto? ten, co zabrać chce ciebie?

FRANCZESKA.

Przybył, siostrzyczko!

SAMARYTANA.

Ten bezimienny, bezlicy —
Nie widziałyśmy go dotąd.

FRANCZESKA.

A może
ja go widziałam.

SAMARYTANA.

Ty? Kiedy?

Nie rozłączałam się z tobą,
z twoim oddechem.
Na twoich oczach zwisało me życie.
Gdzieżeś go mogła widzieć,
siostro, beze mnie?

FRANCZESKA.

Tam, gdzie ty, słodkie me życie,
dotrzeć nie mogłaś,
w głębokiem, samotnem miejscu,
gdzie bezustannie
wielki się pali ogień.

SAMARYTANA.

Przemawiasz zagadkami,
a lice twoje jakby przesłonięte.
Ach! zdaje mi się, żeś ty już odeszła
i że zdaleka
jeszcze się ku mnie odwracasz, a głos twój
jak gdyby straszną pobrzmiewa wichurą.

FRANCZESKA.

Uspokój-że się, moja duszo droga,
moja ty mała gołąbko!
Dla czego jesteś taka przerażona?
Uspokój-że się! Niedługo
nadejdzie i twoja godzina,
i ty z naszego precz ulecisz gniazda,
i twoje małe łóżeczko,
które zaścielasz przy mojem,
stać będzie opuszczone —
i ja o świcie słyszeć już nie będę,
jak bosa podbiegasz ku oknu,
już ja cię widzieć nie będę, ty moja

mała gołąbko, jak biegniesz ku oknu
bosemi nożętami —
już ja cię słyszeć nie będę, jak wołasz
„Franczesko! wzeszła jutrzenka,
kogut już z grzędy zlatuje!“

SAMARYTANA.

A jednak będziemy żyły,
o, mimo wszystko będziem żyć — o biada!
a czas wciąż płynie —
płynie i płynie, jak zawsze!

FRANCZESKA.

Już ty mnie rankiem pytać się nie będziesz:
„Czemu jęczało twe łóżko, jak trzcina.“
A ja ci nie odpowiem:
Obracałam się, by zasnąć, a we śnie
widziałam, siostro, we śnie, który śniłam — —
Już ja ci nie opowiem,
com zobaczyła we śnie — — —
I trzeba będzie umierać;
ach! minie wszystko — trza będzie umierać,
a czas wciąż płynie,
a czas wciąż płynie, jak zawsze!

SAMARYTANA.

Serce me bolem napelniasz, Franczesko,
i, patrzaj, cała
drżę z przerażenia.

FRANCZESKA.

Uspokój się, siostro.

SAMARYTANA.

Opowiadałaś mi sen, który śniłaś

wczorajszej nocy, a podczas
kiedyś mówiła do mnie,
zdawało mi się, że słyszę
jakoweś gniewne odgłosy,
a potem jakiś krzyk,
a potem jakieś kołatanie w bramę,
co się zamknęła — a potem
cisza.
Nie dokończyłaś —
Twe towarzyszki zaczęły kanconę —
I serce moje lękało się wielce,
siostro, o ciebie.
Komu oddaje cię ojciec?

FRANCZESKA.

Pamiętasz
ów dzień sierpniowy, gdyśmy były same,
o tam! na wieży?
Spoglądałyśmy, jak nad głębią morza
wzbijał się obłok nawalny
w gorącym wichrze, że krtań nam wysuszał.
I cały ciężar pochmurnego nieba
zwisał nad nami,
i naokoło cały las, daleko,
aż po wybrzeże Kiassi, był czarny
jak owo morze, i ptactwo stadami
w lot uciekało przed idącą burzą.
Pamiętasz dzień ten? Byłyśmy na wieży,
a potem, nagle, była cisza. Wicher
umilkł. Słyszałam bicie twego serca,
a potem odgłos młotka:
jakiś rozbójnik, jadący po grabież,
podkuwał konia na okraju drogi...
Las był milczący, jak cień nad grobami.

Rawenna cała posępna, jak miasto,
które splądrował wróg z nadejściem nocy.
Zdawało nam się, że śmierć na nas czeka
pod tym wiszącym obłokiem. A jednak
nie uciekłyśmy. Pamiętasz? Powieki
ani nam drgnęły — czekałyśmy gromu.

Zwraca się ku niewolnicy, stojącej nieruchomo nad otwartym sarkofagiem.

Powiedz, Smaragdi, któż to był ten w waszej
pieśni ludowej, co podkuwał konia
w blasku księżyca? Mówiła mu matka:
Proszę cię, synu, podczas tej wyprawy
nie pojmaj brata ze siostrą,
kochanka razem z kochanką.
A on, człek krwawy, odrzecze:
Napotkam troje, to zabiorę troje,
gdy znajdę dwoje, zabiorę z nich jedno,
a jeśli ujrzę jedno, nie sfolguję
temu jednemu — zabiorę!
Jakże-ż, Smaragdi, zwie się on w twym kraju?

SMARAGDI.

Przeklęte nazwisko,
którego nawet wymienić nie wolno.

FRANCZESKA.

Co czynić będzie Smaragdi beze mnie?
Cóż, odjeżdżając, mam ci pozostawić?

SMARAGDI.

Zostawcie mi, pani,
trzy kubki goryczy:
jeden wypiję, gdy wstanie poranek,

drugi w południe,
trzeci, gdy wieczór zapadnie.

FRANCZESKA.

Nie, nigdy
trzech ci goryczy kubków nie zostawię —
pojedziesz ze mną razem do Rimini —
będziemy miały okienko na morze:
ja ci opowiem każdy sen, byś mogła
widzieć w nich lice radości lub bolu;
będę-ć mówiła o tej siostrze słodkiej,
o tej gołąbce małej,
a ty zaś, stojąc przy oknie,
patrząc na łodzie korsarskie,
będziesz śpiewała: „Do jakich
zawiniesz portów, mój statku,
na jakiem rzucisz kotwicę wybrzeżu?“ —
„Zawinąć chcę do Cypru,
rzucić kotwicę pod Limisso,
na ląd wysadzić żeglarzy
za pocałunek, a zasię
za miłość wysadzić sternika.“
Chcesz-li, Smaragdi, bym cię wzięła z sobą?

NIEWOLNICA.

Wielkie to szczęście dla mnie
choćby przez ciernie kroczyć i płomienie,
aby być z tobą.
Jesteś jak niebo z gwiazdami,
jesteś jak morze z falami.

FRANCZESKA

Morze z falami! — — —
Ale, Smaragdi, po coś przyszła z wiadrem?
Powiedz!

SMARAGDI.

Podlałam krzak róży.

FRANCZESKA.

Dla czego
czynisz to teraz? po za zwykłą porą?
Samarytana pogniewa się! Ona
podlewa krzak różany,
gdy dzwon wybije wieczór.
Samarytano, cóż ty powiesz na to?

SAMARYTANA.

Niech kwiat ten uwiędnie,
kiedy ty z domu odchodzisz, Franczesko!

FRANCZESKA.

Jaki on piękny!
A może nawet święty jest, wyrosły
w tej trumnie dawnej, która była może
grobem jakiego męczennika
albo też jakiej chwalebnej dziewicy.

Obchodzi otwarty sarkofag i palcami dotyka rzeźb na wszystkich czterech ścianach.

Oto Zbawiciel,
lwa ma pod sobą i węża; Elżbieta
nawiedza Pannę Maryję;
zwiastun anielski zjawia się Dziewicy;
jelenie gaszą pragnienie u źródła.

Prostuje się, wyciąga ramiona, jak gdyby zamknąć w nich chciała krzak róży.

Krew męczenników wykwita purpurą
i ogniem. Spojrzyj, siostro, jak on płonie!
Spojrzyj, jak krew ta goreje!

Myśmy go własną zasadziły ręką —
tak, w październiku, w dniu, w którym szkarłatny
orzeł Polentów odniósł był zwycięztwo.
Pomnisz, jak groźne rozbrzmiewały rogi
od Porta Gadza do Torre Dzankana
na cześć nowego sztandaru,
który nam ojciec kazał
uszyć z czterdziestu łokci karmazanu.
Potężne drzewce jego czy pamiętasz?
My same
złotaśmy dały na obrzeże —
sztandar zwyciężył. I krzak ten
był dla nas święty —
był nietykalny dla nas
niby dziewiczość, i nigdy
nie zerwałyśmy ani jednej róży —
przez te trzy wiosny kwitły
i kwiat traciły
w tym sarkofagu. Lecz nigdy
nie było tyle pęków, co w tym maju;
ze sto ich będzie — więcej! więcej! Spojrzyj!
One-ć dziewice z San Apollinaro
takim nie płoną ogniem
na swojem niebie złocistem.
Samarytano!
Samarytano, powiedz,
która z męczennic leży
tu pogrzebiona? która
złożona tutaj do grobu po wielkiem,
wielkiem męczeństwie, powiedz!
Spojrzyj, o, spojrzyj: ten cud krwi!

SAMARYTANA.

Co mówisz,

co mówisz, siostro? Tak przemawiasz do mnie,
jakby w gorączce.

BIANKOFIORE z lodżii:

Madonna Franczeska!

ADONELLA.

Madonna!

FRANCZESKA.

Czego wy chcecie?

ADONELLA.

Madonna,
przyjdźcie tu do nas co tchu!

ALDA.

Przybiegnijcie!

ADONELLA.

Zobaczyć swego małżonka!

BIANKOFIORE.

Przechodzi
właśnie dziedzińcem razem z waszym bratem,
panem Ostazio. Toldo Berardengo
jest także z nimi.

ALDA.

Madonna Franczeska!
chodźcie co prędzej! O ten! ten!

Córka Gwidona biegnie po schodach na górę. Samarytana chce w pierwszej chwili pójść za nią, wnet się jednak zatrzymuje w miejscu, bez siły i tchu.

ADONELLA, pokazując kogoś Franczesce, przechylonej nad balustradą.

Ten właśnie
ma zostać waszym małżonkiem.

GARSENDA.

Szczęśliwa,
o, jak szczęśliwa!
Zaiste! rycerz najpiękniejszy w świecie!
Patrzajcie, jakie ma włosy —
andagaweńską wodą
spadają mu na ramiona!

ALDA.

Jakiego wzrostu i jak leży na nim
płaszcz, spięty pasem, jakie ma wyloty
aże do ziemi sięgające!

ALTIKIARA.

Jaka
spina i jakie koronki!

BIANKOFIORE.

Wysoki, smukły, i chód ma królewski!

ADONELLA.

A jakie białe ma zęby! Błysnęły,
kiedy się nieco uśmiechnął. Madonno,
nie widzieliście?

GARSENDA.

Szczęśliwa, szczęśliwa,
która całować go będzie
w te usta!

FRANCZESKA.

Milczcie!

ALDA.

Już go niema! Wszedł już
w portyk.

Niewolnica otwiera kratę, zamyka za sobą ukradkiem i znika w ogrodzie.

FRANCZESKA.

Ach! milczcie! milczcie!

Odwraca się, zakrywa twarz obu rękoma, opuszcza po chwili ręce i wygląda, jakby przemieniona. Po pierwszych stopniach schodzi powoli, potem z nagłą zbiega szybkością, aby się rzucić w objęcia siostry, czekającej u stóp schodów.

ALTIKIARA.

Messer Ostazio wraca sam, bez niego.

BIANKOFIORE.

Dokąd tak biegnie niewolnica? Biegnie
przez ogród.

GARSENDA.

Pędzi jak wyżeł.

Śmieje się.

Lecz dokąd
ona tak biegnie? dokąd?

ADONELLA.

Zaśpiewajmy
pieśń o nadobnej Izoldzie:
„O drzewo daktylowe —“

Panny ustawiają się w lodżii.

CHÓR PANIEN.

O drzewo daktylowe,
o moja słodka miłości,
co teraz czynić zamierzasz?

Magister Antonius sonum dedit.

Franczeska, znajdująca się w objęciach siostry, nagłym wybucha płaczem. Chór przerywa pieśń. Panny szepczą między sobą.

BIANKOFIORE.

Madonna płacze.

ADONELLA.

Płacze!

ALDA.

Czemu płacze?

ALTIKIARA.

Serce ją boli z radości.

GARSENDA.

Tak, w samo
ranił ją serce. Jeśli ona piękna,
to i on piękny — — Malatesta!

ADONELLA.

Dla niej
jakby urodzon. Oboje
pod jedną zrodzeni gwiazdą.

GARSENDA.

Ona szczęśliwa,
i on szczęśliwy.

ALDA.

Niech długie żyje lata
ten, który da jej wieniec.

BIANKOFIORE.

Upadł pierwszy deszcz wiosenny,
zieleni się niwa —
spadła pierwsza łza miłości
i dusza szczęśliwa.

ADONELLA.

Teraz się śmieje! Teraz się śmieje!

BIANKOFIORE.

Widzisz, jak rosa
śmieją się wszystkie jej łzy.

GARSENDA.

Idź, zagrzej kąpiel,
przygotuj grzebienie!

Panny rozbiegają się po lodżii, szeleszcząc sukniami, jak ptactwo w gęstwinie, podczas kiedy wysokie kądziele z pasmami różnobarwnego lnu połyskują, jak pochodnie, na skrawku nieba. Niektóre udają się do komnat i potem razem wracają; jedna staje na straży i patrzy, a wszystkie szepczą półgłosem i tłumią swe kroki.

BIANKOFIORE.

Mamy te nowe, srebrne
napełnić flakoniki
wódką różaną i pomarańczową.

ALDA.

Prześcieradłami
o jedwabistych obrąbkach,
mamy napełnić cztery wielkie skrzynie.

ALTIKIARA.

A ileż-to cudnych
haftowałyśmy wezgłowi,

o jakich nawet nie śniły
panie z Rimino.

ADONELLA.

O, jeszcze dużo mamy do czynienia.

GARSENDA.

Trzeba nam zwijać bieliznę
obszytą koronkami
i kołdry składać z pozłocistej lamy.

BIANKOFIORE.

Trzeba przeliczyć siatki,
obrączki, i spiny, i pasy.

ADONELLA.

O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSENDA.

Przysięgam,
że większe wiano wnosi Malateście
córka Gwidona,
niż weneckiemu doży
przyniosła córka Boemonda,
króla Dalmacyi i Serbii.

ADONELLA.

Dosyć też mamy wódki lawendowej,
by, gdy pojedzie przez morze,
zlewać to morze wonnością

ALDA.

Wżdyć pokażemy tym nieco
prostaczym paniom z Rimino,
jak się przyrządza wonności.

BIANKOFIORE.

I jak się gra, i śpiewa,
i tańczy.

ALTIKIARA.

O rety! o rety!
bym tylko nie zapomniała
szkarłatną przypiąć łatę
na Dżiana Figa kubraczku —
wróci o wpół do dziewiątej.

BIANKOFIORE.

Powinien mówić nam dalej
o tarczy Morgany
i o tym trunku — — —

ALDA.

Hoho! wesele w maju!
Stu będzie kuchtów
i dań trzydzieście.

BIANKOFIORE.

Słóweczko
trzeba Madzarellemu
powiedzieć w sprawie muzyki.

ADONELLA.

O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSENDA.

Więc dalej! do roboty!

ADONELLA.

Rzućmy kądziele,
a bierzmy wieńce!

Wracają do komnat z brzękiem pszczół na roju. Franczeska podniosła twarz zapłakaną i nagłym rozjaśnia ją uśmiechem. Podczas kiedy panny rozmawiały szeptem w lodżii, otarła łzy z twarzy swojej i siostry. Teraz mówi, a pierwsze jej słowa łączą się z zespołem ostatnich słów weselnych.

FRANCZESKA.

Siostro, ma siostro!
Daj spokój płaczom! daj spokój! Nie widzisz,
że ja się śmieję? Śmieję się i płaczę,
i jeszcze niedość mam tego. Za ciasne
zda mi się serce na taką potęgę,
płacz mi się zdaje siłą już zużytą,
a śmiech zbyt lekką krotochwilą;
i całe me życie
z wszystkiemi jego żyłami,
z wszystkiemi dniami, z wszystkiemi
przenajdalszemi sprawy,
aż do tej ślepej i niemej godziny,
kiedym leżała, ach! na łonie matki,
a ciebie jeszcze nie było na świecie,
jednem jest dla mnie drżeniem,
drżącem po ziemi okręgu;
we wszystkich źródłach,
które się śmieją i płaczą,
w nieznanych dla mnie miejscach,
kryje się cząstka mej siły, powietrze
pełne jest dla mnie jakichś wielkich krzyków,
a światło
jak gdyby grzmiało grzmotem trąb,
i huk i bunt jest we mnie
daleko większy, niźli w ów dzień pomsty,
gdy krew zrosiła
bramy naszych domów.

SAMARYTANA.

Franczesko, Franczesko, ma duszo!
Cóżeś widziała, ach! cóżeś widziała?

FRANCZESKA.

Nie drżyj, ma siostro, nie drżyj!
Cóż ty chcesz widzieć w mych oczach?
Jaka mnie gnębi choroba? I kogo —
kogom widziała?
Życie tak płynie,
płynie jakoby rzeka,
która się rwie na rabunek
i morza znaleźć nie zdoła —
jej szum mnie przeraża...
Ach! bierz mnie!
bierz mnie ze sobą, droga siostro, bierz!
zawiedź mnie do komnaty,
i zamknij okno,
i daj mi trochę cienia,
i daj mi łyk wody,
i na twem małem połóż mnie łóżeczku,
i zasłoń mnie zasłoną.
I niech ten szum się uciszy,
spraw, aby umilkł ten łoskot,
który rozpiera mą duszę!
Sprowadź mi spokój,
ażebym mogła znów słyszeć,
jak pszczoły majowe
o nasze okna biją skrzydełkami
i jak świegocą jaskółki.
Spraw, bym znów mogła słyszeć twoje słowa,
jak wczoraj, o tej chwili
tak dziś dalekiej,
tak dziś odległej — nie wiem,

wskutek jakiego zaklęcia.
Trzymaj mnie, siostro,
trzymaj i więź mnie przy sobie!
Czekajmy wieczora,
modlitwy czekajmy i snu,
i świtu czekajmy, siostrzyczko,
aż twoja wzejdzie jutrzenka.

GARSENDA wpada do lodżii.

Idzie, już idzie, madonno!
Idzie, madonno Franczesko, ogrodem!
Spostrzegłam go z izby, gdzie skrzynie,
spostrzegłam go pod cyprysami —
Smaragdi wskazuje mu drogę.

Za Garsendą wpadają inne panny, wesołe i rozbawione; na skroniach mają wieńce radosne i ciągną ze sobą trzech w kwiaty strojnych chłopców - grajków z lutnią, skrzypkami i fletem.

FRANCZESKA, blada z przestrachu i wzruszenia, jak gdyby bez zmysłów.

Nie! nie! biegnijcie!
Dziewki, biegnijcie,
by nie przychodził! Biegnijcie
co tchu naprzeciw niego,
aby tu nie przychodził.
Zamknijcie bramy, zagrodźcie
wszelakie przejścia i mówcie,
mówcie mu, że go pozdrawiam...
A ty mnie wspieraj, ty, Samarytano,
bym nie uciekła ztąd.
Kolana gną się pode mną
i oczy moje zaćmione!
Biegnijcie!
O dziewki moje, biegnijcie,
by się natychmiast zawrócił!

Biegnijcie naprzeciw niego
i mówcie, że go pozdrawiam!

PANNY.

Jest już! Jak blisko! Jak blisko!

Oparta na ramieniu siostry, Franczeska idzie schodami do góry; w tej samej chwili zjawia się jednak, z drugiej strony kraty, Paolo Malatesta. Franczeska staje w miejscu bezwładna, a on zatrzymuje się śród krzewów w ogrodzie. Stoją naprzeciw siebie, oddzieleni kratą, i nieruchomie patrzą sobie w oczy. Niewolnica ukryła się w głębi. Panny w lodżii stają do korowodu, a grajkowie uderzają w narzędzia muzyczne.

CHÓR PANIEN.

Pośród zielonej dąbrowy
myśliwiec śpieszy na łowy,
na cel wziął biedną zwierzynę —
a w biesiadników gronie
w krwi własnej serce tonie,
w obcą wygnane krainę.

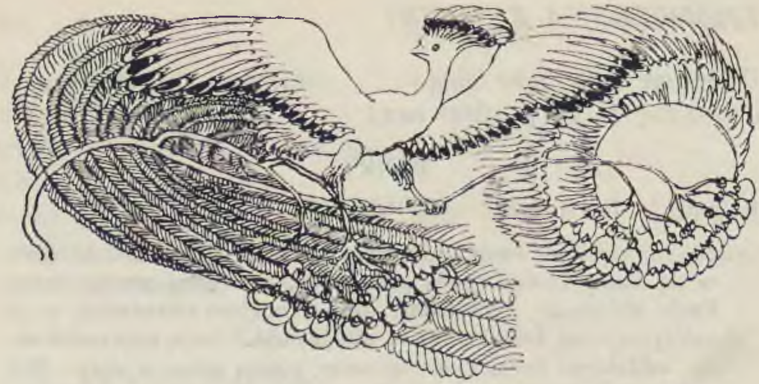
Magister Antonius sonum dedit.

Franczeska puszcza ramię siostry i wolnym zbliża się krokiem do sarkofagu. Zrywa wielką różę szkarłatną, wraca się i przez kratę podaje ją Paolowi Malateście. Samarytana, z głową zwieszoną i płacząc, idzie po schodach do góry. Panny w wieńcach zaczynają śpiewać na nowo. W głębi poza kratą zjawia się Bannino (przyrodni brat Franczeski) z podwiązanym policzkiem; cofa się na chwilę, potem kilkakrotnie w zakratowaną uderza bramę, którą był zamknął Ostazio. Franczeska drży.

GLOS BANNINA.

Franczesko, otwórz! Franczesko!

Zasłona.



AKT II.

AKT DRUGI rozgrywa się w zamku Malatestów, w Rimino. Walka gwelfów z gibelinami. Śród łuczników, rzucających pociski na wroga, zjawia się Franczeska, małżonka Jana Kulawca. Rozgorzała ogniem występnej miłości ku jego bratu, Paolowi Malateście, szuka odpowiedniego swemu wnętrzu żywiołu w zamęcie boju. Bohatersko zmaga się z nieprzyjaciółmi domu Malatestów — igra z ogniami, pochłonięta blaskiem płomiennych pocisków:

„...... O cudzie!
Rozkoszy oczu! O żądzo jasności —
żądzo zniszczenia! Żali w sercu jakiejś
wysokiej góry leżały te zsiadłe
drogie kamienie, które znów roztapia
ten straszny płomień i przemienia znowu
na duchy ognia? O życie, tak drżące
a niespodziane! Piękności zabójcza!
Leci ten pocisk śród nocy bezgwiezdnej,
upada w obóz, zbrojne chwyta męże,
otula sobą dźwięczące pancerze,
przeszywa płytę za płytą,
wżera się w każdą żyłę,

rozkłada kości, szuka szpiku,
skręca ich, dusi, oślepia —
ale nim jeszcze oślepły źrenice,
dusza wydaje ryki, zatopiona
w tym strasznym blasku, który ją pochłania.

Czujnie nadsłuchuje, przechylona nad otworem schodów.

Ktoś tutaj idzie po schodach. Kto idzie?

STRAŻNIK.

Na każde piętro mamy po stu strzelców,
po stu łuczników, ukrytych, a którym
nawet niewolno oddychać. Tam, w dole,
stoją, jak strzały w sajdaku.
Może widzieli płomień.

FRANCZESKA.

Nie! to jeden
podzwania zbroją. Któż to
idzie po schodach?

STRAŻNIK.

Na wszelki wypadek
raczcie, madonno, odsunąć ten pocisk
na bok; z pewnością to nie wróg nadchodzi —
twarz mu spalicie; być może to messer
Dżiovanni. (Jan Kulawiec).

FRANCZESKA.

Któż to? Któż to jest?

GŁOS PAOLA.

Paolo!

FRANCZESKA ucieka, cofa pocisk, który wskutek nagłego ruchu wybucha płomieniem i oświeca hełm i żelazny kołnierz PAOLA MALATESTY.

SCENA TRZECIA.

PAOLO wychyla się aż po pas z otworu schodów i zwraca ku bratowej, która cofnęła się ku ścianie, trzymając jeszcze w ręku żeleźce pocisku, pochylonego ku ziemi, tak, że może podpalić sobie nogi. Łucznik odchodzi ku platformie.

STRAŻNIK.

Dobrze się stało, żeście przyszli, dobrze,
messer Paolo!
Nie wiele brakło, byśmy się spalili
razem z tą wieżą; madonna
tak z greckim igra ogniem,
jak z pieskiem na linwie.

FRANCZESKA, ogromnie pobladla, oparta o ścianę, śmieje się śmiechem bolesnym i wypuszcza pocisk z dłoni.

STRAŻNIK.

Istny cud, że dotąd
nie wijemy się w piekielnych płomieniach.
O patrzcie...

STRAŻNIK kilku garściami piasku gasi ogień. Paolo szybko przeskakuje ostatnie schody. Gdy stanął na platformie wieży, łucznik wskazuje ręką w stronę miasta, gdzie rozpoczęła się utarczka.

ŁUCZNIK.

Zamęt w dzielnicy San Kataldo; walka
rozpoczęła się przy moście Membruto,
tam! ponad fosą patarską!
Przy Gualkierze biją się — patrzajcie —
tuż popod wieżą Mosketto,
koło Masdonii.

FRANCZESKA cofa się, postępuje kilka kroków pomiędzy bronią i rozmaitemi narzędziami, tamującemi przejście, wraca się ku drzwiom, któremi weszła, i chowa się za pilastr, który ją zakrywa przed oczyma Paola.

STRAŻNIK.

My czekamy jeszcze
na hasło, messer Paolo.
Nie długo wieczór zapadnie. Co czynić?

PAOLO zdaje się nie słyszeć, jedną opanowany myślą i jednym lękiem. Zobaczywszy, że Franczeska znikła, opuszcza wieżę, zstępuje na dół bocznemi schodami, aby jej poszukać.

PAOLO.

Franczesko!

FRANCZESKA.

Hasło, Paolo! wydajcie
hasło! Nie bójcie się o mnie, pozwólcie
zostać mi tutaj i słuchać
świstu cięciwy.
Nie mogę oddychać,
zamknięta w izbie, w gronie wystraszonych
mych towarzyszek, podczas kiedy w mieście
toczy się walka. Piękny hełm mi dajcie,
panie kuzynie!

PAOLO.

Dam wam!

FRANCZESKA.

Wróciliście
teraz z Czezeny?

PAOLO.

Tak, dzisiaj — z Czezeny.

FRANCZESKA.

Zabawiliście dość długo.

PAOLO.

Czterdzieści
dni siedzieliśmy w obozie z Gwidonem
Montforckim. Miasto Czezenę
zdobywaliśmy i zamki.

FRANCZESKA.

Niemałe
znać na was trudy, wychudliście nieco
i pobledliście nieco — tak się zdaje.

PAOLO.

Jakowaś febra jesienna
zapanowała w okolicy Savia.

FRANCZESKA.

A więc jesteście chorzy. Przeto drżycie?
A Orabile nie dała wam leku?

PAOLO.

Febra się strawi sama w sobie. Nie chcę
żadnego leku. Ziół nie szukam żadnych,
aby wyzdrowieć, ma siostro.

FRANCZESKA.

Miałam-ci ziele, co leczy,
miałam-ci ziele w ogrodzie ojcowskim,
w ogrodzie mego szlachetnego ojca —
Niechaj go strzeże Bóg!
Miałam-ci ziele lecznicze w ogrodzie —
wyście pewnego dnia w ten ogród weszli,
odziani płaszczem, który w słodkim świecie

zowie się kłamstwem;
nadepnęliście na to ziele moje,
nadepnęliście, nieświadom, i zioło,
choć stopa wasza była lekka, zwiędło,
przestało rosnąć, mój panie kuzynie,
przestało rosnąć, umarło!

PAOLO.

Jam go nie widział,
anim nie wiedział, gdzie jestem,
ani też, kto mnie przywiódł na tę drogę;
nie rzekłem słowa,
nie słyszałem słowa,
żadnegom progu nie przekroczył,
nie zmogłem żadnej przeszkody.
Ujrzałem-li różę,
którą mi wówczas podano, ach, świeższą
od warg świeżej rany! I śpiewy
jakieś młodzieńcze słyszałem, i straszne
jakieś pukanie do straszliwej bramy,
i głos pełen gniewu,
was wzywający po imieniu!
To było wszystko! to wszystko!
I nie dla tego wróciłem,
że miałem wolę powrotu,
albowiem drogi śmierci
nie są mroźniejsze od tej mojej drogi. —
Tak, moja siostro! Niechaj Bóg nas wspiera.

FRANCZESKA.

Me oczy
świty ujrzały poranne,
dające nam jutrznię,
tę karmicielkę niebieską,

co nas zbudziła, ażeby nas mlekiem
swojem nakarmić, kiedy sen ostatni
zbliżył się k'naszej łożnicy.
Z wstydem i lękiem
patrzały na nią me oczy,
niby na wodę nieczystą,
z urągowiska
nagle wylaną na lice,
zwrócone do góry,
pełne tęsknoty
za drogim napojem światłości.
Widziały to me oczy
i widzieć to będą, dopóki
noc ich nie zamknie na wieki,
noc nieznająca
świtu, mój bracie!

PAOLO.

Ach! na mnie
niech wstyd ten spadnie i hańba.
Nie spałem, gdy ów zawitał poranek.
Precz uszedł już spokój
z duszy Paola Malatesty!
I wszystko już we mnie
było dla siebie wrogie od tej chwili,
gdyście stanęli swą stopą na progu,
z którego niema powrotu,
i gdy ja z świtą odszedłem weselną.
I gwałt stał się lekiem
na me nieszczęście owej strasznej nocy —
z ręki mej zginął Tindar Omodei,
dom mu w perzynę-m obrócił,
na pastwę
mej krwawej świty dałem jego mienie!

FRANCZESKA.

Niech wam Bóg przebaczy
tę krew i to wszystko,
tylko nie łzy te, których nie płakałam,
tylko nie oczy, co owego ranka
zostały suche.
Jam nie płakała
i nigdy odtąd nie płaczę, mój bracie.
A owy napój,
podan mi przez was u brodu — pomnicie —
tej pięknej rzeki?
z tem waszem sercem fałszywem,
szaleństwu pełnem i zdrady? —
to był ostatni trunek, który zgasił
moje pragnienie; i odtąd
nie było wody, mój panie,
któraby mogła zgasić me pragnienie.
I zabłysnęły wieżyce Rimina,
i zabłysnęła brama galeańska,
i słońce zaszło za szczyty,
i ku wieżycom zarżały rumaki,
i nieme wasze oblicze zabłysło
między lancami pachołków.
Przekleństwo,
żeście mnie wówczas nie chcieli powierzyć
falom tej rzeki, coby mnie ze sobą
porwała k'morzu i słodko złożyła
gdzieś na wybrzeżu Rawenny: poznaną
byłby mnie może zaniósł kto do ojca,
do mego ojca dobrego, co, nie chcąc
żadnej mi krzywdy wyrządzić, za żonę
oddał mnie temu, który mu się widział —
niech Bóg go strzeże, tego ojca mego,
i niech mu daje coraz większe władztwo.

PAOLO.

Tak-ci jest srogi, Franczesko, wasz wyrzut,
a taki słodki, że serce się kraje
i moja smutna rozpływa się dusza
w tym dziwnym dla mnie dźwięku waszej mowy.
Dusza się moja rozpływa,
i wszelka odbiegła ode mnie świadomość,
i nie wiem, jak ją napowrót przygarnąć.
W jakiż mam umrzeć sposób?

FRANCZESKA.

Jako niewolnik, przykuty
do stawu łodzi, która zwie się „Rozpacz,"
tak umierajcie!
A pamięć owego trunku,
który z rąk waszych wzięłam
u brodu tej pięknej rzeki,
zanim doszliśmy do murów
fałszu i zdrady,
niechaj was spali i strawi. Przez Boga,
przez najwyższego Boga
i przez świętego Jana,
lepiej ci było, mój bracie, zostawić
głowę, niż shańbić tak biedną swą duszę.

Słychać bicie dzwonów u świętej Kolumby. Oboje budzą się z odrętwienia.

A! gdzież jesteśmy? Kto woła? Paolo,
która godzina? Co robicie?

STRAŻNIK i ŁUCZNIK, zajęci naciąganiem proc i przygotowaniem płomiennych pocisków, zrywają się na odgłos dzwonów.

STRAŻNIK.

Hasło!
Hasło! dzwon świętej Kolumby!

ŁUCZNIK.

Dać ognia!
Ognia! niech żyje Malatesta!

Zapala jeden z pocisków i wypuszcza go w stronę miasta. Z otworu schodowego wypada z wrzaskiem tłum łuczników, zajmuje platformę wieży i zabiera się do broni i machin.

ŁUCZNICY.

Niech żyje messer Malatesta! Niechaj
żyje stronnictwo gwelfów!
Śmierć Parczitadzie oraz gibelinom!

Z murów pada na miasto grad pocisków, który rozpłomienia duszne powietrze. Paolo Malatesta zdejmuje z głowy hełm i podaje go bratowej.

PAOLO.

Daję wam szyszak!

FRANCZESKA.

Paolo!

PAOLO wskakuje na wieżę. Głowa jego, ujęta w pukle włosów, panuje nad tłumem, rzucającym pociski. FRANCZESKA rzuca szyszak na ziemię i z krzykiem biegnie za Paolem. Świst cięciw i wrzask żołnierzy.

PAOLO.

Łuk mi podajcie! dajcie łuk!

FRANCZESKA.

Paolo!

Jeden z łuczników pada z przeszytą gardzielą.

STRAŻNIK.

Na Boga! precz ztąd, madonno!
Tu zaczynają walić już na dobre!

Kilku łuczników podnosi swe wielkie malowane pawęże i zagradza drogę Franczesce, pragnącej dotrzeć do Paola.

ŁUCZNICY.

Wieża Galassa odpowiada.
Od Masdonii
pędzą tu ludzie Czinjatty!
— Niech żyje messer Malatesta!
Niech żyje stronnictwo gwelfów!
Verukkio! Verukkio!

FRANCZESKA stara się przedrzeć przez zwał łuczników, zagradzających jej drogę.

STRAŻNIK.

Madonno! Na Boga,
którego czcicie! O, zastanowienia,
messer Paolo! Madonna Franczeska
jest bez osłony! Tutaj śmierć!

PAOLO stoi z łukiem na murach i, wystawion na pociski wroga, strzela bez upamiętania, jak szaleniec.

FRANCZESKA.

Paolo!

PAOLO odwraca się na krzyk ten i widzi Franczeskę w ogniach pocisków. Bierze pawęż jednego z łuczników i osłania ją.

PAOLO.

Franczesko, zejdźcie! Cóż to za szaleństwo!

Pcha ją ku wyjściu. FRANCZESKA patrzy mu z poza pawęży w jego piękne, rozpalone oblicze.

FRANCZESKA.

Wy szalejecie! Wy!

PAOLO.

Wszakże mam umrzeć!

Odciąga ją ku sklepieniu wieży, rzuca pawęż, pozostając tylko z łukiem w ręku.

FRANCZESKA.

Jeszcze nie pora! Nie! Jeszcze nie pora!

ŁUCZNICY.

Malatesta! Malatesta!
Ludzie Czinjattty
stoją przy wieży Rubbii —
Tu, na tę stronę!
Tu, na tę stronę!

Schodzą bocznemi schodami z lewej i opierają łuki o strzelnice muru. Dzwony biją na alarm. Słychać w oddali dźwięk rogów.

Verukkio! Smierć Parczitadzie!
Śmierć gibelinom!
Niech żyje Malatesta!
Niech żyją gwelfowie!

PAOLO.

Teraz jest pora, abyście widzieli,
jak ja umieram, abyście mi głowę
podnieśli z ziemi rękoma swojemi.
Cóż ja innego mógłbym mieć już od was?
Nie chcę umierać
jako niewolnik u wioseł galery.

FRANCZESKA.

Trzeba, Paolo, zahartować serce
naprzeciw losom
i stać milczący,
jako owego dnia, śród strasznej świty,
jako owego dnia, pośród oszczepów
najemnej ciżby! Niechże nie pohańbię
i mojej duszy dla was!

PAOLO.

Tak! igrać z losem
pragnie fałszywe me serce,
pełne szaleństwa i zdrady.

Nagłym ruchem przyciąga Franczeskę ku zakratowanemu oknu i podaję linę od drzwi zapadowych.

Podnieście!
Dziecko podniesie,
niewinna ręka podniesie!

PAOLO porywa pęk strzał i rzuca je pod nogi Franczeski. Potem naciąga łuk.

FRANCZESKA.

Szaleńcze!
Szaleńcze! Czy myślisz
w ten sposób kusić mą duszę?
Gotowa jestem do wszelkiej śmiertelnej
gry i nie przegram,
choć wszystko przegrane!
Ty zasię stoisz u straszliwych granic —
niech Bóg cię wspiera!
Ja ci otworzę wyjście!
Teraz uważaj! celuj! celuj dobrze,
abyś nie chybił, bo ja śmiać się będę!

Podnosi w górę drzwi zapadne; przez otwór widać ogrom morza w blaskach zachodzącego słońca.

Morze! Morze!

PAOLO chwyta łuk, celuje i strzela.

PAOLO.

Dobry strzał! Przeszyłem
stalowy kołnierz i szyję.
Wieść ten zaniesie o mnie
piekłu!

FRANCZESKA spuszcza drzwi zapadne; słychać, jak pociski wroga uderzają o kratę. Paolo składa broń.

ŁUCZNICY NA WIEŻY.

Zwycięstwo! zwycięstwo!
Śmierć Parczitadzie!
Niech żyje messer Malatesta!
Niech żyje partya gwelfów!
Zwycięstwo!
Gibelinowie rozbici na moście
fossy patarskiej. Gualkiera
już oczyszczona z wrogów!
Messer Dżiovanni w galopie,
z lancami, przy bramie
Gattolo. Ludzie Czinjatty
pierzchli! Uważać,
aby w zamęcie
nie trafić swoich!
Zwycięstwo Malateście!

FRANCZESKA, w wielkiem wzburzeniu ducha.

Ach, widzę morze,
morze wieczyste,
świadectwo Pana.
A na tem morzu żagiel,
szczęśnie kierowan przez Pana.
Paolo, bracie mój w Bogu,
uczynię ślub,
aby się Pan ulitował
nad Tobą.

PAOLO.

Podnieście kratę!

FRANCZESKA.

I już jej nie spuszczę,
niech się ta próba zakończy
wyrokiem bożym,
spełnionym z pomocą strzały!
Człowiek jest kłamstwem, a zaś Bóg jest prawdą.
Bracie mój w Panu, słuchaj: zmora zdrady,
którą masz na duszy,
niech przebaczona będzie ci przez miłość,
a wyrok boży
niech się objawi
z pomocą strzały,
która cię nie tknie —
albo też raczej
oddaj swe życie
i ja swe oddam.

Z napiętą liną w ręku klęka do modlitwy, z źrenicami wlepionemi nieruchomie w odsłoniętą głowę Paola. Przez podniesioną kratę widać jaśniejące morze. Paolo nakłada pocisk na cięciwę i strzela bezustanku. Od czasu do czasu pociski gibelinów wpadają przez okno, odbijają się o mur i nie wyrządzając szkody padają na posadzkę. Pod wpływem bolesnej męki kurczy się twarz modlącej. Wymawiane wyrazy zaledwie poruszają wybladłemi jej wargami.

Ojcze nasz,
któryś jest w niebie,
święć się imię Twoje,
przyjdź królestwo Twoje,
bądź wola Twoja,
jak w niebie, tak i na ziemi.
Chleba naszego powszedniego
daj nam dzisiaj — —

PAOLO, chybiwszy kilkakrotnie, z wielkim wysiłkiem woli napina cięciwę, jak gdyby pragnął dać strzał mistrzowski. Świst cięciwy. Słychać krzyk z pośród zastępów nieprzyjacielskich.

PAOLO z dziką radością.

A! Ugolino! w złe-m cię trafił miejsce!

FRANCZESKA.

— i odpuść nam nasze winy,
jako i my odpuszczamy
naszym winowajcom,
i nie wódź nas
na pokuszenie,
ale nas zbaw ode złego.
Amen.

Na wieży krzyk i objawy radości łuczników; kilku z nich wynosi na rękach zabitych i rannych.

ŁUCZNICY.

Zwycięstwo przy Malateście!
Śmierć Parczitadzie! Śmierć gibelinom!
Niech żyje!
Ludzie Montanii pierzchają
przez bramę San Kataldo!
Pożar się wszczyna! Jedna z naszych beczek
padła na domy Akkarizia!
Pożar się wszczyna!.. Zwycięstwo!
Malatesta! Malatesta!
A! messer Ugolino
Czinjatta upada z konia!
Zabit! zabit!
Strzała przeszyła mu gardziel!
Kto go położył? Bartolo Gambitta?
Kto go położył? To ktoś z naszych ludzi!
Sto lir raweńskich wart ten strzał — wart tysiąc
złotych!.. Zwycięstwo!

Strzała musnęła głowę Malatesty i przeszła mu wskroś włosów. Franczeska wypuszcza z rąk linę, zrywa się na równe nogi,

przybiega do Paola, obejmuje mu głowę, myśląc, że trafiony, i szuka rany. Przeraża się jeszcze bardziej, widząc śmiertelną bladość, którą, podczas tego, powlekła się twarz Paola. Strzała pada na ziemię.

FRANCZESKA.

Paolo! Paolo!

Przygląda się swym rękom, czy nie splamiła ich krew. Ręce są białe. Szuka ponownie, ciężko oddychając.

Co się stało, na Boga, Paolo!
Krew ci nie cieknie, nie ma twej głowie
krwi ani śladu, a, zda się, umierasz.

PAOLO głosem stłumionym.

Nie, nie umieram, Franczesko!
Żelazo mnie nie tknęło!

FRANCZESKA.

Uratowan i oczyszczon!
Oczyszczon jesteś z fałszu!
Podziękuj Bogu! Bracie,
klęknij!

PAOLO.

Lecz wasze dotknęły mnie ręce
i z karbów wyszła dusza mego serca,
i chłód przenika wszystkie moje żyły,
odbiegła mnie siła życia
i cóż mi z niego zostaje?

FRANCZESKA.

Na głowę
twoją, Paolo! klęknij!

PAOLO.

Niewymowna

zdjęła mnie trwoga i wstręt stokroć większy
od trwogi.

FRANCZESKA.

Klęknij!

PAOLO.

Kiedy już tak żyłem
tą mocą szaloną,
walcząc sam na sam, na wzniosłej wieży
waszej modlitwy, w płomiennej
samotnej waszej źrenicy — — —

FRANCZESKA.

Uklęknij!
Dzięki złóż Bogu!
Uklęknij i sam się już nie gub!

PAOLO.

Walczący samotnie
i mordujący ludzi — —

FRANCZESKA.

Już przebaczono ci w niebie! Oczyszczon
jesteś, a sam się chcesz gubić.

PAOLO.

W mem rozszalałem wnętrzu
zwarła się razem wszystka ma odwaga
i wszystka zamknięta
mojej przeklętej miłości potęga.

FRANCZESKA.

Zgubiony! zgubiony!
Mów, że szalejesz! Na twą głowę, mówże,

mów, że szalejesz! Że twa biedna dusza
nie słyszy wyrazów twych ust!
Na oną strzałę,
która się ciebie nie imie,
na śmierć, co się ciebie
dotknęła palcem,
lecz nie zabrała cię, mówże,
mów, że już nigdy podobne wyrazy
z ust twych nie wyjdą!

ŁUCZNICY.

Niech żyje
messer Dżiovanni Malatesta.

SCENA CZWARTA.

W otworze wieży Mastry zjawia się Kulawiec, caly w zbroi, z sardyńskim oszczepem w ręku. Skacze po schodach, kulejąc, a stanąwszy na blankach wieży, potrząsa strasznym dzirytem, podczas gdy głos jego przerywa wrzaski łuczników.

DŻIANCZIOTTO.

Krocset! plemię tchórzów!
Łotry! wisielcy!
Ja was wszystkich razem
rzucę do Auzy, jak ścierwo!

FRANCZESKA.

Brat twój!

PAOLO rzuca łuk.

DŻIANCZIOTTO.

Sprawniejsi jesteście
w czynieniu wrzawy,

niż w garbowaniu gibelińskiej skóry.
Może sądzicie, że wyście cokolwiek
tutaj zrobili — z łukami bez cięciw?
Gdybym ja nie był przygnał z moją jazdą,
byłby Czinjatta obie wyparł bramy!
Niech Bóg wam łokcie potrzaska, wy tchórze!

ŁUCZNICY.

Wyszły nam strzały. A przytem astrolog
zwlekał z podaniem hasła. Wszakci zmilkła
wieża Galassa. Przez nas na Masdonii
leży ich kupa.

DŻIANCZIOTTO.

Krocset! mało ognia!
Nie widzę domów płonących! Źleście
rzucali ognie!

ŁUCZNICY.

Wszakże Akkarizia
dom się już pali! — A zacny Czinjatta —
któż się z nim sprawił! Toć to jeden z naszych
zatkał mu gardziel.

DŻIANCZIOTTO.

Któż to stał przy oknie
zakratowanem?

ŁUCZNICY.

Czyż na jego głowę
nie wyznaczono nagrody? — Nasz oddział
zarobił swe tysiąc złotych.

DŻIANCZIOTTO.

Mówcie,
kto stał przy oknie?

ŁUCZNICY.

Walczyliśmy, panie,
z pustym żołądkiem — giniemy z pragnienia
i z głodu! Żyj nam messer Dżiovanni,
nigdy — niekontent!

PAOLO bierze swój hełm i, nakrywszy nim głowę, idzie na wieżę. FRANCZESKA podchodzi ku drzwiom, któremi weszła, i otworzywszy woła:

FRANCZESKA.

Smaragdi! Smaragdi!

DŻIANCZIOTTO do łuczników.

Zamknijcie gęby! Niech wam język uschnie!
Nie lubię pustej paplaniny. Moim
ten, który działa a milczy! Tej chwili
potrzeba rzucić jedną z wielkich beczek;
ja sam pokażę kierunek, w imieniu
wielkomożnego mego ojca
trzeba ją posłać Parczitadzie
już na ostatnie pożegnanie!
Berlindżerio, gdzie jest
brat mój, Paolo?
Czy nie był tutaj?

NIEWOLNICA zjawia się we drzwiach, potem, wysłuchawszy jakiegoś rozkazu pani, znika. FRANCZESKA pozostaje w progu.

PAOLO.

Jestem, mój bracie Dżiovanni. Jać-to
stałem przy oknie kratowanem, jam też
przeszył tę gardziel wrażą,
co zbyt szeroko rozwarła swą gębę,
by ci urągać.

Szmer śród łuczników.

DŻIANCZIOTTO.

Dzięki ci, bracie!

Zwraca się do strzelców.

Taki strzał mógł tylko
pochodzić z ręki Malatesty —
słyszycie, samochwalcy?

NIEWOLNICA zjawia się z dzbanem i puharem. FRANCZESKA wraca ku otworowi schodów, aby się pokazać. DŻIANCZIOTTO schodzi naprzeciw brata.

DŻIANCZIOTTO.

Paolo! przynoszę-ć
dobre nowiny!

Spostrzega żonę. Głos jego przybiera nagle łagodniejszy odcień.

Franczeska!

FRANCZESKA.

Witam was, panie, który nam przynosisz
zwycięstwo!

Kulawiec podchodzi ku niej i bierze ją w objęcia.

DŻIANCZIOTTO.

Droga małżonko, a zkądże
widzę was tutaj, w tem miejscu?

FRANCZESKA broniąc się uściskom.

Na zbroi
dużo krwi macie.

DŻIANCZIOTTO.

Żalim was powalal?

FRANCZESKA.

I cały kurzem okryty.

DŻIANCZIOTTO.

Małżonko,
kurz moją strawą!

FRANCZESKA.

A rany
żali nie macie jakowej?

DŻIANCZIOTTO.

Nie jestem
ranny.

FRANCZESKA.

Z pewnością czujecie pragnienie?

DŻIANCZIOTTO.

O tak, ogromne.

FRANCZESKA.

Smaragdi, daj wino.

NIEWOLNICA zbliża się z dzbankiem i puharem.

DŻIANCZIOTTO z radosnem zdumieniem.

Jakto? Małżonko! A więc myśleliście
o mojem przyjściu? O droga ma żono!
Pewnieście swojej kazali służebnej
zważać, by dała wiadomość, że idę?

FRANCZESKA nalewa puhar i podaje go małżonkowi. PAOLO stoi milczący u wejścia i czuwa nad ludźmi, zajętymi przy beczce z materyałami palnemi.

FRANCZESKA.

Pijcie, to wino z Chios.

DŻIANCZIOTTO.

Pijcie pierwsza,
jeżeli łaska — jeden haust.

FRANCZESKA.

To wino
nie jest zatrute, mój mężu.

DŻIANCZIOTTO.

Śmiejcie się!
Nie podejrzliwość jest tu w grze — przenigdy!
O waszą łaskę tu idzie, o łaskę
waszą, Franczesko,
żono ma wierna.
Zdrada mi od was nie grozi; mój rumak
dotąd pode mną
jeszcze się nigdy nie potknął. Małżonko,
pijcie — choć jeden haust!

FRANCZESKA dotyka wargami puharu.

DŻIANCZIOTTO.

Jakaż to rozkosz
ujrzeć znów wasze oblicze, po bitwie,
wziąć z waszej ręki puhar tego wina,
mocnego wina, i pić jednym haustem —

Wychyla puhar.

O, tak! — Raduje się serce!
A cóż Paolo?
Czemu do niego nie rzekniecie słowa?
Wrócił z Czezeny, a wy go
nie przywitacie, mego rodzonego?
Chodź tu, Paolo! Czy nie masz pragnienia?
Rzuć grecki ogień dla greckiego wina.
Potem spalimy wszystkich Parczitadów.
Nalejcie, żono, jeszcze jedną czarę —
wypijcie, proszę, na cześć mego brata,
jeszcze haust jeden i raczcie pozdrowić
dzielnego strzelca.

FRANCZESKA.

Już go pozdrowiłam.

DŻIANCZIOTTO.

Kiedy?

FRANCZESKA.

Gdy strzelał.

PAOLO.

Wiesz, Dżiovanni,
przyszedłszy na wieżę,
już ją zastałem
jak wraz z Berlindżerim
strzał próbowała ognistych.

DŻIANCZIOTTO.

Żali to prawda?

PAOLO.

Igrała
z strzałą płomienną, aż strażnik
narobił wrzasków, że podpali wieżę.
A zasię ona się śmiała! Słyszałem
śmiech jej, gdy ogień igrał u jej stóp,
jak chart na smyczy.

DŻIANCZIOTTO.

Żali to prawda, Franczesko?

FRANCZESKA.

Dłużyło mi się w komnacie
pośród lamentów moich towarzyszek.
I wierzaj, panie, stokroć mi jest lepiej
patrzeć na bitwę otwartą,
niźli w zamknięciu pocieszać te płaczki.

DŻIANCZIOTTO.

Córko Gwidona, dobrze cię naznaczył
twój rodzic, dobrze! Oby Bóg cię dla mnie
uczynił płodną i obyś lwie plemię
dała mężowi!

FRANCZESKA marszczy brwi.

DŻIANCZIOTTO.

Tyś jeszcze nie pił, Paolo!
Pij — coś pobladłeś. O ma wojowniczko,
pełny mu nalej puhar, niech wypije.
Przedziwny uczynił strzał.

PAOLO.

Wiesz, Dżiovanni, podczas gdym ja strzelał,
ona trzymała kratę! Ona! W ręku
silnie trzymała linę drzwi zwodzonych,
jako giermkowie przy rycerzach. Nie drżał
puls jej i oczy jej nie drgnęły.

DŻIANCZIOTTO.

Hejże!
Pójdziemy razem zdobywać zamczyska,
ty moja żono! Szyszak dam ci złoty,
a ty, dosiadłszy rumaka,
pośpieszysz z lancą i mieczem,
jak owa dzielna grafini Aldruda,
ta z Bertinora, kiedy w bój ruszyła
wraz z Markesellą przeciw kanclerzowi
z Magoncy. Droga małżonko,
już mi bez ciebie czas się nazbyt dłuży.
W tej ciemnej wstędze naokoło skroni
i popod szyją, wyglądasz, jak gdybyś
żelazne miała podgardle. A jaki

wdzięk w twej postaci! Nieprawda, Paolo?
Aleś ty nie pił. Pijże, jesteś blady.
Zbyt to cię, widać, utrudziło. Dzisiaj
spać nie będziemy w swoich łóżkach. Proszę,
nalejcie wina swojemu szwagrowi.

FRANCZESKA.

Owszem, nalewam.

DŻIANCZIOTTO.

Tak jakby była noc już. Przelewacie...

FRANCZESKA.

Pijcie, mój szwagrze! Pijcie-że z puhara,
z którego napił się wasz brat. I niech wam
Bóg powodzenia nie skąpi — wam obu,
a i mnie również!

PAOLO pije, patrząc Franczesce w oczy.

DŻIANCZIOTTO.

Tak, powodzenia, Paolo!
Zacząłem mówić, ale nie skończyłem.
Dobrą ci niosę nowinę — posłuchaj.
Oto w godzinie zwycięstwa
nasz wielkoduszny ojciec przyjął w domu
posłów florenckich z wieścią,
że cię wybrano naczelnikiem ludu
i gminy miasta Florencyi.

PAOLO.

Florenckich
posłów!

DŻIANCZIOTTO.

Tak! bracie! Czy to martwi ciebie?

PAOLO.

O nie, pojadę.

FRANCZESKA kryje twarz w mroku i przechadza się po wieży. NIEWOLNICA cofa się na stronę i stoi bez ruchu.

DŻIANCZIOTTO.

W trzech dniach musisz jechać.
Będziesz miał czasu dosyć, by pośpieszyć
do Giadżiolo, do twej Orabile,
przyzwyczajonej snać już do wdowieństwa.
A wiedz, że jedziesz do miasta swywolnych
biesiad, do miasta, gdzie rządzi gromada
„braci wesołych,“ gdzie pełno bogatych
kupców, trefnisiów i giętkich dworaków,
gdzie biesiadują rankiem i wieczorem,
gdzie lubią tańczyć i śpiewać, — dowoli
tam się zabawisz.

Posępnieje i mówi z goryczą:

My za to będziemy
zastawiać sidła na wilki i rzezać
marne jagnięta, żelazem
uderzać będziem o żelazo
dla ucieszenia uszu,
stalić będziemy pociski, topory,
lance sardyńskie z rana do wieczora.
A potem czekać będziem, czy przy szturmie
nie spadnie znowu głaz i nie roztrzaska
drugiego jeszcze kolana. I potem
Janko Kulawiec, Janko Kuternoga
każe się sznurem przywiązać do grzbietu
rozszalałego wierzchowca i pomknie
na łeb na szyję do Piekieł.

FRANCZESKA śród wielkich udręczeń przechadza się w mroku. Przez otwór wieży widać niebo, zachodniemi zlane płomieniami.

PAOLO.

Dżiovanni,
gniewasz się na mnie?

DŻIANCZIOTTO.

Nie! czyżeś nie wyrwał
języka temu, który mi urągał?
„Hejże na Kulawca
i jego piękną małżonkę!“
Tak szydził Ugolino,
z ogromnym krzykiem najeżdżając na mnie.
Czyż krzyk ten jego dotarł aż do kraty?
Jam się z nim zetknął oko w oko,
strzemię o strzemię,
kiedy twój pocisk
przeszył mu gębę
na wskroś, aż na wierzch wyszedł potylicą.
A mogłeś chybić!
Czułem, jak pióra twojego pocisku
twarz mi owiały. Mogłeś chybić, bracie.

PAOLO.

A żem nie chybił, cóż ty o tem myślisz?

DŻIANCZIOTTO, kładąc mu rękę na ramieniu.

Widać, że wszelkie miłujesz ryzyka.
Lecz we Florencyi bądź ostrożny. Wielki
bierzesz na siebie obowiązek: ostry
i wielce szybki miewaj wzrok, lecz rękę
zawsze ostrożną.

PAOLO.

Tak radzący, bracie, —
żali nie lepiej będzie, gdy się zrzeknę

tego urzędu? Wszakże całej naszej
potrzeba siły w ojczyźnie!
Rok ten dla nas gwelfów
niezbyt szczęśliwie się składa po klęsce
Dżiana z Appii i po sycylijskim
buncie przeciwko Andagaweńczykom.

DŻIANCZIOTTO.

Trzeba to przyjąć bez zwłoki. Obrońcą
spokoju będziesz tam, gdzie ongi
nasz wielkoduszny ojciec namiestniczył
w imieniu króla Karola, w szczęśliwem,
bogatem mieście gwelfickiem. W ten sposób
i z tamtej strony granicy Romanii
brzmieć i rozszerzać się będzie
głośne nazwisko Malatestów; każdy
z nas niechaj śpieszy za swoją wschodzącą
gwiazdą. Ja pójdę swą drogą, z tym mieczem,
który ma oczy i widzi.
Jeszcze się koń mój
dotąd nie potknął pode mną.

Podczas jego słów wnoszą z pochodniami rannego Malatestina, który zdaje się, jakby już był bez życia. Zmrok czyni się coraz gęstszy.

FRANCZESKA.

Nieszczęście! Nieszczęście!
Czy nie widzicie! Ach! czy nie widzicie
Malatestina? Wnoszą go na rękach
zbrojni rycerze — wnoszą z pochodniami!
Malatestina zabito dla ojca!

Malatestino jednak żyw. Brat Paola i Jana Kulawca (Dżiancziotta) wziął sam jeden do niewoli głównego rodziny swej wroga, Montanię Parczitadę, lecz w walce z nim

utracił oko. Bój szaleje na ulicach miasta, Malatestino—odtąd Malatestino dall'Okkio (M. Jednooki)—zrywa się, rycerskich żądny zapasów, lecz, ranny, ulega namowom Franczeski i pozostaje w domu, pod jej opieką. Żegna się tylko Paolo, aby objąć urząd florenckiego naczelnika ludu.

PAOLO.

„Żegnaj, Franczesko!“

Zbliża się ku niej, Franczeska cofa się z przerażeniem.

DŻIANCZIOTTO na wieży:

Paolo! Paolo!

FRANCZESKA.

Żegnaj mi, bracie!

PAOLO zwraca się ku wieży, gdzie dalej płomienne rzucają pociski. FRANCZESKA, pozostawszy sama, żegna się, ukląkłszy, a potem rzuca się na ziemię. W głębi gwałtowniejszy słup światła rozjaśnia niebiosy.

ŁUCZNICY.

Dać ognia! Dać ognia!
Śmierć Parczitadzie! Koniec gibelinom!
Górą gwelfowie! górą Malatesta!

Płomienne pociski padają z bastyonów. Dzwony biją do szturmu. Dźwięki rogów przerywają zamęt na ulicach płonącego i krwią zlanego miasta.

Zasłona.

(Dok. nast.)



Rysunek ołówkowy
STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.

„Chambres garnies."

I.

.... Urodziłem się w „umeblowanych pokojach do wynajęcia."

Rodziców moich pono nie stać było na własne mieszkanie. Spotkali się na ulicy, przypadkiem, i nie długo szukali schronienia. Tyle jest czerwonych, lub innych szyldów, ze złotym napisem: „Chambres Garnies."

— Dopiero o wiele później zdałem sobie sprawę, że mam o to do nich głęboki żal, ponieważ zmuszony byłem opuścić ich dla tego.

— Na razie wszystko było w porządku, nie spostrzegłem się nawet, że zamiast piersi matczynej podsuwają mi flaszkę ze smoczkiem i że płyn w niej zawarty nie jest zwykłem mlekiem, tylko już jakimś mądrze wymyślonym preparatem. — Znacznie później, będąc na wsi, widziałem raz ot taki obrazek, gdy zupełnie nagie dziecko, na czworakach przypełzało do obok pasącej się kozy i bez niczyjej pomocy, z własnej przemyślności, wymiona jej

ssało. — Otóż o ile sobie przypominam wrażenie owej chwili, — nazwałbym je teraz uczuciem zazdrości.

— Przyszedłszy zatem na świat, odrazu znalazłem się za szklaną szybą, w pokoju zastawionym meblami, których uszanowanie stanowiło treść wpajanych we mnie zasad.

Nie wytłómaczyli mi powstawania sprzętów i słów, których używałem, więc było to sobie tak, jak trawa rosnąca i grzyby w lesie, a wszystko w sposób z góry nakazany, jak patarafka pod lampą i pogrzebacz przy kominku.

Wytworzyła się we mnie cała mechaniczna strona życia, w której odczuwałem brak nieokreślony, ale ponieważ wszystko już na świecie zastałem gotowe, więc od samego założenia wszelka moja osobista potrzeba nie miała racyi bytu i musiala być zwalczaną. Tembardziej, że była nieokreśloną, a często i nielogiczną, bo w faktach najbardziej oczywistych, w prawach ogólnie uznanych dopatrywałem się czegoś więcej, np. zadania arytmetycznego, które należało koniecznie rozwiązać, aby cośkolwiek zrozumieć.

Szukałem wciąż odpowiedzi — przyglądałem się rozmaitym ludziom, ale nie doszedłem do żadnego z nimi porozumienia, bo kiedy, stawiając pytania, z natężeniem patrzyłem im w twarz, oni spokojnie sięgali do kieszeni i, wyjmując z niej posążek, kazali mi patrzeć na coś oddawna martwego, żyjącego może niegdyś w rękach, ktore je lepiły, ale co z chwilą ukończenia pracy stało się przedmiotem handlu i teraz, wędrując z rąk do rąk, jest upiększeniem wszystkich „Chambres Garnies.“

Kolekcya owych posążków, cz. pozorów, jest nader bogata, bo od najodleglejszych epok, aż po dzień ostatni. Zwłaszcza te na czasie bywają niebezpieczne, bo prędzej wzruszają. Czego przykład dam zaraz.

Każdy z nas coś wie o zepsuciu wielkich miast. Otóż dowiedziałem się niechcący, że obok nas, w tym samym domu, mieszka jakaś zacności rodzina. Z ciekawości, pewnego dnia otworzyłem cichutko drzwi i wszedłem do ich mieszkania.

Był mrok, a nikt nie myślał o zaświeceniu. Po chwili spostrzegłem kilka dziewczynek, większych i mniejszych. Wszystkie siedziały nieruchomo i sztywnie — jedne na wyższych krzesłach, drugie na podnóżkach. Widziałem wszędzie bezczynnie splecione ręce. Zdawało mi się, że to jak w bajce, i pytałem:

— „W makatami wyłożonych komnatach —
— na kwiecistych, wzorzysto utkanych dywanach
— siedzą księżniczki?“
— „W najcudniejszych, złotem haftowanych,
— z dalekiego kraju przywiezionych szatach
— czekają dziewice?“
— „Pójdźmy więc . . . . “

Odpowiedziały mi, że nie mogą, że mają wielki dług do spłacenia, na który całego życia nie dosyć, bo dzieci winne rodzicom dozgonną wdzięczność.

— Siedziałem sam jeden na środku pokoju, a naokół mnie był ścisk przedmiotów ogólnego użytku — był rój uznanych wartości, których krąg zacieśniał się i zbliżał, pętlicę zarzucić chciał.

Ciasno mi było wśród zapisanych papierów, martwych płócien, skamieniałości, szczątków z odległych epok, jakichś trylobitów, enkrynitów, rozmaitych muszli szumiących morzem — okruchów życia, porcelanek słodko uśmiechniętych.

— W pokoju, naokół mnie, dział się ruch szczegółów, owych nieznacznych, mozolnych poruszeń, które nie są

w stanie zmienić całokształtu—zacieśniał się krąg drobiazgów — podzielne do nieskończoności atomy, jak kolorowe „confetti“ zewsząd padały — kwiatki odczepiały się od tapet i szły ku mnie — aż zakręciło się wszystko i, w zygzakowatych, łamanych liniach serpentyny, zapamiętale kołowało.

— Postanowiłem wszystko sprzedać — byle komu, za pół ceny, za bezcen — tłumowi zwrócić, płynnemu życiu oddać.

— Trwało to jakiś czas. Wyzbywanie się dziedzictwa, a właściwiej, wyżywanie się z rodziców — długa praca. — To też w końcu spostrzegłem się, że oto połowa mego życia już upłynęła.

I stanąłem jak ów las przetrzebiony, dla którego ludzie byli drwalami. Wycinali zeń dowoli, żywicę wiosenną toczyli i pili do syta, a on im szumiał konarami.

Ale dosyć jednego, dwóch drzew nie ściętych, aby las w nich dalej żył i w ziemię kładł nasiona swej przyszłości.

II.

.... Myślałem rzeczy, które przychodzą człowiekowi samotnemu do głowy.

My wszyscy chodzimy po lesie i grzyby zbieramy — każdy do swego koszyka, a tylko od czasu do czasu podnosi się garście ku ustom, by huknąć: Hop! hop! na brata — i przez chwilę nasłuchiwać odpowiedzi. Potem znów, każdy wciąż mozolnie grzyby zbiera i sam... zawsze sam po lesie chodzi.

Tak ja pojmowałem wzajemne stosunki.

Wiedziałem jednocześnie, że człowiek potrzebuje rozmaitych dobrych słów, by mu łatwiej było żyć. Więc pragnie towarzystwa, więc mnoży się i roi, albo do mogił ucho przykłada, zaklęciem, tchnieniem zbroje ożywia — ducha testamentu między księgami poszukuje i fantomy na ucztę sprasza. Ale te czasem za wcześnie pierzchają, i wtedy, między nocą a dniem, kiedy to wozy robocze tak niemiłosiernie głucho po bruku wielkiego miasta dudnią, — człowiek słabnie i drży. Instynkt gatunku bezbronny i sam, a naprzeciwko niego, oko w oko, to, co było zawsze dalekiem, o tysiące mil odległem. Trzęsą się kości w zawiasach, śmierć za rygle szarpie, gdy zmora nocy powstaje — — — gdy wieją białe mgły — — — — — —

— Najczęściej było mi w życiu, jak choremu, którego niemoc powaliła. Słyszałem kroki równomierne i ciężkie — zegary od dawien dawna jednako brzmiące.

Wiedziałem, że stopy, które tak chodzą, milionem są — że zegary, które tak biją, nigdy inaczej nie uderzą — godziny zawsze jednakie, te, które były i będą.

— Słyszałem pacierze starych, bezzębnych ust, jakgdyby szept cienia strasznego, przy kopcącej łojówce schylającego się nade mną.

Później jakieś histeryczne wrzaski, rozpacze — otwierano mi gwałtem powieki... kazano kochać — to znów złowroga cisza i palące łzy, jak ukłócia na twarzy i rękach.

— Teraz nareszcie jestem sam w sobie — tylko poświata miesięczna, cichym krokiem ducha, przez okno schodzi, drży... łagodnem falowaniem obejmuje.

— Tyle dziś obłoków — spuchnięte, rozdęte, niosą

się szybko — niebo podniosło się w górę i przeraźliwie rozwidniło się między czubami drzew. — W takim dniu, ludzie czują niepokój i mówią, że idzie coś, wieści nadciągają. — Takie jasne dnie bywają z wiosną, ale teraz jesień — wczoraj jeszcze brunatne mgły rozwłóczyły się między konarami, obszywając gęstwiną nagie drzewa.

. . . . Jaką ja mam dużą głowę, pełną wielu słów. Zdaje mi się, że jestem globusem ziemi i na ramionach niosę cały świat dotąd poczęty.

— Otwieram książkę — padają mi oczy na własne, niewypowiedziane dotąd myśli. Zmienił się ich strój jedynie — zrobiły się pysznym, przebogatym tłumem świątecznych biesiad. A na przodzie całego pochodu niedowiarek biegnie, podskakuje, garście drobnych kolorowych papierków w górę wyrzuca, bo podzielność atomów jest nieskończona i nie ma dalszych konsekwencyj i nie ma poprzednich, jest tylko ruchem bez końca. — Niedowiarkowi zachodzi drogę artysta, pomazaniec królewskości nietykalnej, i mówi, że trzeba pewną siłę wynieść ponad wir kolorowych papierków, trzeba z niej władzę uczynić, by złote insygnia skreśliła, — więc wyciąga ręce, a tłum znów widzi to tylko jako znak zapytania. — Myślątka strojne i barwne szumią pióropuszami.

— I oto ziemia dokonywa ostatniego obrotu, bo formy dalszej nie stało — są tylko stare rzeczy w nowe słowa ubrane.

A doskonałość pozostała owem morzem rozległem, w deszczu brylantowych gwiazd leżącem aż poza oczyma. Człowiek słyszy potęgi szum wezbrany — czuje, jak fale rosną, podnoszą się, przerosły wszystko, niebios sięgają, a on wciąż plecami do prześwietlonego słońcem muru zielonej wody zwrócony. — Jest chwila, w której fala załamuje górny brzeg i ku otchłani dąży, wtedy człowiek podaje się cały w tył i głowę przechyla, — w szklance

pomieścić morze chce, którego zawartość rozsadza mu czaszkę, i wody ponoszą łupinkę mózgu, w jego ostatniem dążeniu do doskonalszego wyrazu. — — — — — — — —

— Gdy się pawich czubów zbyło, jakże można dalej żyć?

— Trzeba zaprzysiądz na miecz obrony, na sztukę.

III.

.... Takie smutne, bez wyjścia godziny. Nic w nich niema, tylko jakieś kłębiaste, nudne myśli. „Stoją krowy na zapomnianych pastwiskach i, przeżuwając dawną strawę, patrzą gdzieś...“ To zdanie uformowało się bezwiednie, tak, jak, patrząc na bańki mydlane, wie się naraz dokładnie, jakim był szklany pałac któregoś tam królewicza, gdy się tęczą słoneczną przepasał.

.... Idę wciąż przez miasto — od wielu godzin chodzę. Latarnie skąpo się palą, i tylko od czasu do czasu jaśniejszy ogień i war głosów przez oświetlony otwór bucha. Dymy błękitne zasnuwają brzęk szkła, muzyczny zgiełk.

— Nie mogę być z nimi, to książki w nieznanym języku pisane, choć wezmę do ręki, czytać nie umiem i nic też nie mam im do powiedzenia!

Ja, człowiek zbyteczny ludziom, do których zwrócenie przemowy powinno być jak bicie w kotły i bębny do ataku na okopy.

Albo też musiałbym żebrać — nagiem ciałem przyświecać cudzej litości. — Znam kobiety, które dzieci swoje wywodzą pod mur publiczny i nauczają, że przyjdą ludzie, którzy ich nakarmią, nasycą. Naprożno dzieci czekają — przypadek rzuci im czasem miedziaka na piersi — ot wszystko.

— Siadłem przy oknie — patrzę, z tego zaduchu kawiarnianego, na miesięczną, jarzącą się noc.

Długie, białe nici telegraficznych drutów na niebie rozpięte.

— Myślę, że podobno w taką zimową ciszę słychać po wsiach dalekie głosy o mile.

Poszedłbym ja może, nocą, w białe pola, i wołał...

Kupiłem sobie pęk „roses de France“ i przenoszę oczy z niebieskiej toni księżyca na ich różowe ciepło, a zdają mi się żywsze i bardziej zmysłowe w tym kontraście barw. —

— Śniłem kiedyś marzenie o kobiecie - roślinie, którejby miłość kwiatów, daleko od siebie rosnących, wystarczała. — Szeroko rozstawionemi ku skroniom oczyma patrzyła — a spojrzenie to było, jak dwa kwitnące, ciemnofiołkowe bratki. Pyszczek miała rybi i nozdrza przezrocze, ale to wszystko ludzkim obleczone wyrazem. Na głowie, miast włosów, kręciły jej się zczochrane płatki złocieni, a ręce dłońmi zawsze odwracała, i między szeroko rozstawionemi palcami mieniła się błona. Stała ona gdzieś na pograniczu między mną, zielonym lasem. Czasem widywałem ją za progiem mego pokoju, gdy nieuchwytnie się przesuwała, i myślałem wtedy, że chciałbym ją mieć, ową bezpośredniość czucia. Umieściłbym ją w słoju zielonym, aby poprzez tafle grubego szkła śpiew ziemi leciutko i dźwięcznie, jak łąka, brzęczał.

— Gdy patrzę na ludzi, są zawsze tylko niejasnem, mżącem się tłem, wśród którego chcę lampę o niezwykłej sile światła wymalować.

— Ale czemże jest właściwie dzieło sztuki dla ogółu? prawie że właśnie tego rodzaju przedmiotem, jak lampa (minus użytek), a dopiero przychodzi jeden „taki“, i kiedy

się w ognisko światła zapatrzy, to mu ludzie znikną, w ściany wsiąkną — jest wtedy sam wśród tłumu.

— Z myślami trzeba coś robić — trzeba je gdzieś zaczepiać, rozwieszać. Później, to mnie dziwi każda taka gotowa, skończona myśl, której wypowiedzenie jest jakby pokazaniem klejnotu, jest kunsztem złotniczym. — Patrzę wtedy i staram się od zewnątrz zrozumieć ten przedmiot użytku stworzony moją potrzebą, ale tylko moją, więc pewno dla innych, dla ludzi ta potrzeba pozostanie ciemną, bo nie zechcą jej odkryć. Wezmą w ręce tylko kształt, jak pusty garnuszek, i będą się zastanawiali, czy ładny, czy brzydki. Tego ich nauczyli literaci — a mnie się zdaję, że niema ścisłej zależności formy od treści. — Są zapewne dzieła sztuki, które jak wodospad zawisły, skamieniały w jednem mgnieniu, gdy rozbryzgany pęd nad przepaść wybiegł i stanął. Ale bywają nadto rzeki, oddające tylko barwy przepływających obłoków, albo też fontanny, owo cudne schylanie się po perły i wyrzucanie ich pełnemi rękoma w słoneczną grę harmonii. Ale oprócz tego, w zagłębieniach ciemnych, stoją wody, źrenice lasów, w których żaden się obraz nie odbije, najwyżej cień spotęguje. Co mieszczą, niewiadomo. — — —

— Jednem słowem, według mnie, może być takie myślenie z potrzeby, z tęsknoty, której żadna forma życiowa nie ukoi.

.... Tak, ale czasem, chciałoby się do kogoś blizkiego mówić. Mówić bez słów, które są krótkie, jak te nasze kroki na powierzchni ziemi, w pogoni za śmigłym lotem ptaka. Mówić jakgdyby kołysaniem tęczy barwnej, między dwoma, pobudzającemi się ruchami.

— Na sali tłumy — wszystkie stoliki zajęte — śpiewają kuplety: „Viens pou-poule! viens pou-poule! viens...“

— Ktoś mówi, że za dwa dni Boże Narodzenie.

— Patrzę przez okno, śnieg łagodnie prószy — —

— — Twórczość jest płodna i bożki lepi, ale w taką noc spływają z gwiazd srebrne włosy, któremi nieskończoność zamiata wszystko.

— „Przepraszam — czy to miejsce niezajęte?“

— Dziwny głos — moc, blaski, i słowo chcące — —

Wyglądała na damę z przed lat, tak staromodnie była ubrana, a na głowie miała kapelusz z mocno wystającą po bokach budą, która twarz niewidzialną czyniła, gdy tak na nią z profilu patrzyłem.

Szmer ludzi nagle upadł — wspomnienia chwiały się blado — jeszcze parę razy wybił się zgiełk i zginął jak w oddali. Dźwięki powstawały—księżycowe przędziwo na dalekim skraju — delikatne cienie zamierzchłych czasów...

— — — — — — Dale takie niebieskie, przepojone światłem. Na jesieni złote wierzchołki zarzucona, misternie wzorzysta liśćmi koronka błękitu. Bogactwo barw silnych, rozpłomienionych, we fioletowej oprawie, gdzieniegdzie w zagłębieniach szafirami wysadzanej.

Po ogrodzie asani chodzi, w suto nafałdowanej sukni, ze skrzyżowanym na drobnych piersiach szalikiem.

Dawne lata — rozpylone światłem niebieskie dale. A w powietrzu szmer i szelest, odczepiających się od macierzy liści. Lecą... lecą z drzew — błyszczą w słońcu, jak roztopiony, kapiący metal — i nagle opadają w cień, rudawą plamą na ziemi się kładą, drogi smutku ścielą— — —

— — Asani idzie — — — — — — — — — — — — — —

Szelest liści—zmęczonych skrzydeł łagodny szelest.

IV.

.... I nastała taka chwila dla mnie i dla niej. Klęska, żeśmy się wtedy spotkali i chcieli być dla siebie zaspokojeniem głodu.

— Strasznem jest, gdy dwoje ludzi, zkądinąd pięknych, zwraca się ku sobie, by zająć jedno i to samo miejsce w przestrzeni. Oczywiście za pomocą wzajemnego spychania się. — Wiemy, że linie w punkcie swego przecięcia rozchodzą się. Otóż dwa głodne pragnienia idą wtedy dalej. — Idą w splątany las, w straszną gmatwaninę zwojów, gdzie wszystko, co wyrasta, jest jak splot z jednego kłębka wyrzucony. Jest pniem, konarami — przechodzi w smukłe liany, sprężyste wiązy — potysiąckrotnie łączy się, supła, wrasta w siebie i zmaga.

Las cały.

Dróg w nim niema, tylko miejscami tkwi ciężkie spojrzenie zastygłej, ciemnej wody i huczą z pod zielonego poszycia niewidzialne głosy. Zbrodniczy to wicher, kręci się i światłą gasi — szatańską ręką zakwitłe kwiaty przydusza, a ciało swe piękne wygina i idzie na żer.

Same uroczne, jadowite zioła rosną —

— Już od wieków trwa to rozmijanie bolesne. Już całe setki umęczonych ciał w mogiłę wielką urosły, od której cień zagarnia ludzkie dusze, i w mroku jego płacz słychać.

— Czyż ten szloch rwący, co zalepia oczy, usta, i ciepłą mazią spływa — ten szloch brudnych godzin głodu, tarzający się o zmroku, płakać będzie wciąż dalej i bez końca?

— Czyż zawsze, w porze, gdy słońce krwawą raną przepada za wodami, powtarzać się musi dla każdego przedzgonna chwila?

— Iść więc będzie dalej ten pochód zniszczenia i w piorunowe dzwony nad przyrodą bić —

— A męką krzyżową prężą się ramiona — a gdy spójnie pękają, słychać tę podziemną ciszę i... nagle opada lochów rozpacz brzękiem łańcuchów — —

— A dusza idzie za łkaniem szarych płacht deszczowych, na beznadziejnych pustkowiach szukać wiary dla siebie —

.........Później, zdawało mi się, że toniemy razem w jakiejś głębinie, której wody bezlitośnie nami obracają, a ona obślizgłemi ramiony czepia się i ma w oczach nienawiść topielca, bo śmierć jest między nami, więc mówi tak, jak gdyby czuła, że każde słowo ma być ostatnim dźwiękiem staczającym się po pochyłości.

I to wszystko szło nieubłaganie. —

— Ataki nerwowe, w których jej biedna dusza wiła się, skręcała w podrzutach na miejscu, to znów w pustej, otchłannej przestrzeni, bez rozpostartych skrzydeł, w leżącej postawie sztywniała.

A potem wir... wir rozpaczliwie drgających rąk.

Z głębi wyciągały się bolesne ręce — guzowate zmęczone palce — zgrabiałe jak te wyschnięte badyle, z ponad grudy sterczące, — i popękane, ziemią do cna zabite paznokcie — takie płomyki liliowo-sine na woskowych, gromnicznych palcach. —

— Wiedziałem, że spotężnieje przez ból i kiedy rozepnie ramiona, to stanę się owym krzyżem, z którego dusza zmartwychpowstanie.

— Kiedy o tem myślę, przypominać muszę, gdzie się to działo. Wiem zaledwie, jakby z trzecich ust, że mieszkaliśmy wtedy w Paryżu.

— Taki pokój — niewiadomo gdzie, co, jak — jakgdyby okien wcale nie miał i nic doń z zewnątrz nie dochodziło. A w tym pokoju było źrenic dwoje zadużo, bo nic innego, tylko tych źrenic dwoje zadużo w pokoju, który nie miał okien, ni drzwi —

— Niebieskie blaski na szynach i żal... głosem świstu przeciągłego.

Jakieś jęki ciężarne, charczące piersi — zamieć krwawych, potępionych gwiazd, w odmęty przestrzeni lecących — i białe zawieje dymu, łagodnie, wielkiemi płatami ku ziemi opadające.

— Mgła otula, spowija. — Mgła płacze, na powiekach osiada.

Wśród zasnutej sennie przestrzeni, światła stoją nieruchomo.

A wszystko to lampki mego dnia zadusznego płoną w aureolach z mgły . . . .

. . . . Stało się coś jednak — noszę w sobie krzywdę tego —

Oglądam się za czemś nadzwyczajnem. Wszystko tak samo, ulica dudni, przewala się łoskotem tysiącznych kół.

Drukowane litery przesuwają się wciąż — drukarskie czcionki wszędzie migają — po chodnikach czarne znaczki skaczą.

Wielka drukarnia. Boże! co ty piszesz?

— Gdzie jest to coś okropnego?

Aha, pod powiekami tkwi klęska, której ja, niemy świadek, ocalałem— — — — — — — — — — — — — —

A naokół wszystko tak samo — napróżno szukam nazewnątrz wyrazu mego.

Ludzie, zajęcia wciąż te same — wszystko jak dawniej, jak zawsze, i ja też, bez krwawych stygmatów, w świeżo nabytym kapeluszu, niosę coś, czego się boję. Boję się, żeby nie zadźwięczało śmiechem drewnianej kołatki, śmiechem bez treści, śmiechem opuszczonego ciała.

— Przeczucie dosięgło jakiegoś wierzchołka, kędy szło pieczarami, grotami, ową wewnętrzną drogą, równoległą do ścieżki życia, która się urywa przepaścią, zawcześnie dla kroku dalej mierzącego nad ów ludzki kres.

Tylko ptaki ciągną wzwyż i w dal —

— Mieszkaniec pustyni, w słońca zwycięzką kwadrygę wpatrzony, ślepnie—i nie poleją się już zapachy żywiczne, ni szumy, ni wiatry na wypalone jasnym blaskiem oczy.

Godziny jego ugrzęzły na wydmie, jak koła zbyt ciężkiego wozu, gdy, w osiach ostro sycząc, na miejscu się obracają, a naokół suchy piasek sypie się z szelestem.

. . . . I wstąpiłem do „Chambres Garnies“ — więc i ja też musiałem w nich zamieszkać. — Patrzę na ścianę, na portret mej babki i na drzwi, któremi wyszła „ona“.

Kolejno spozieram, i w końcu zdaje mi się, że to ta sama, ta jedyna „ona-asani,“ którą samotność biednego człowieka wytwarza, a nieskończoność zamiata mu ją później srebrnemi włosami i gwiazdom światła przyrzuca, by silniejszą tęsknotą paliły się ludziom na nizinach —

— A może Bóg, świadom siebie, narodzi się dopiero? Może na to pracuję ja, i ty, i ów trzeci, który przyjdzie? A dzieła mego nie ujrzę, albowiem będzie niem dusza drugiego człowieka, i gdy mnie światło-bóstwo pochłonie, wzmoże się jego płodność i narodzi się następny duch.

Koniec tej pielgrzymki — w narodzinach ostatniego ducha pełnej samowiedzy, który będzie Bogiem sam.

Oto idę w pozłocie odwieczoru, a koniec mej drogi niedaleki.

Wszystko zbiega się i ginie w tem widnie jasnem, w szumie niewidocznym, który pochłania wrzawę i ciszę, płomienne globy rodzi i złotą siejbą w ćmę szarego miasta leci — zapada się miękko w liliowy pył zmierzchu —

I będę szedł... szedł, po długich w nieskończoność ulicach — nie pamiętając domu, z któregom wyszedł, ani do powrotu drogi —

— nie niosąc w piersiach uczucia, któreby było śladem łagodnej ręki —

Helena Kwiatkowska.



Rysunek ołówkowy ST. WYSPIAŃSKIEGO.

ZE SZLAKÓW DUCHA. NOWE CYKLE.

Z CHŁODÓW.

Zimno mi. Więcej futer na zmrożone ciało —
Przysuńcie mnie do ognia i przyrzućcie drzewa
Do żaru. — Mdło się pali. Nie czuję płomienia.
Rozniećcie. Zziębłam bardzo, zziębłam aż do kości.

Sople lodu mam w mleczu — i wargi zbielały.
Dawno ich nie całował bóg ognistousty.
Dawno płomienne ręce opadły z mych ramion.
W ogień wejść! zziębłam bardzo, mróz mam w szpiku kości.

Tańczyć w ogniu! Płomienia okręcić się wężem!
W płomiennych mieczów kole tańczyć! Płomieniste
Języki uczuć żrące w mózgu słotnej przędzy —

Niech zgrzyta, schnie, zczernieje — w popiół się przetrawi
Wśród ognia — może wtedy, z gorących popiołów,
Feniksowa w strop nieba strzeli iskra życia.

Przybądź, ognisty skwarze bezchmurnego nieba
Nad szafirowym ogniem mórz rozbałwanionych —
Trzaśnij, gromie, spal suchą topolę przydrożną —
Tryśnij, kipiące źródło, w pylny śnieg pustyni.

Przybądź, gorący wichrze rozkiełznanych marzeń,
Płomienny boże wszechświat chłonącej miłości —
Zachwycie archaniołów hufcem grzmiący w niebo —
Tęsknoto — Simum z wirów lecący zwrotnika.

Przybywaj! twego przyjścia czekam — swej zagłady,
Stratowania pod hordą śnieżystych rumaków,
Zgrzytu iskier, wydartych skale mego serca —

Smolnych łez mrącej nędzy, palenia się żywcem
Mych żalów zardzewiałych, mej kurnej pieczary —
O Płomieniu! o Śmierci! o Życie!

POKUSA.

Ciągną mnie zła sfinksowe lice —
Ciągnie płomienno-czarna toń —
Jej niezgłębione tajemnice —
Jej świetne, ostre błyskawice
I rudej szerci dzika woń.

Gorący dech demona pali
Mą nagą pierś, mój nagi kark —
Chór potępionych słyszę w dali,
Z chrzęstem drzew suchych, z szczękiem stali —
I drżę... i wtórzę ruchem warg.

Na trzęsawiska ostre trawy

Weszły me nogi czyste — bose —
Przede mną łuny rozświt krwawy —
Za mną szemranie trwóg bezgłose...

I oddalony płacz siklawy.....

Z ODMĘTU.

Od bladych furyj zwierzęcej wściekłości,
Od śmiertelnego skurczu niemych gniewów,
Od słów zatrutych, od pijaństwa złości,
Od samobójczych krwi bratniej rozlewów
Wybaw nas, Ciszo!

Niechaj usłyszą
Szept twoich zdrojów ogłuchłe uszy,
Niech w twoich nurtach zielonych, chłodnych,
Znajdzie kres dzikiej katuszy
Duch potępiony!

W pustynię, w jałową topiel piasku
Przemieniona
Święta puszcza, słoneczna puszcza mojej duszy.
Wicher potrzaskał ramiona
Drzew wiekuistych i ognistych krzewów, —
Wichr — szatan gniewów —
Zmiótł bór święcony jednym oddechem zatrutym —
Zwiał jak obrazu błędnego
Fale...

O ciszo gajów w południowem słońcu!
Ciszo majowych mglistych dni i nocy!
O ciche, modlitewne płomienienie

Róż czerwcowych!
O szmeru pełna ciszo niw zbożowych —
Ciszo strzelistych smug płynących niebem —
O Ciszo, w której tłum umarłych marzy —
Głuche, świąteczne milczenie cmentarzy —
Zstąp na mą duszę!

Pod strasznym, suchym żarem słońca,
Duch mój, pustynia naga,
Mrze z gorąca —
Czarny orkan pędzi na oazy
Całą szerokością widnokręgu
Tumany wściekłych, potępieńczych chuci,
Grzebie źródła żywe i porywa
W odmęt zniszczenia pór łagodnych żniwa.

Na duszę moją — w szaleństwach mrącą pustynię —
Gdy wiosny ptak skrwawiony w kurzu leży —
Niebiosa — grudniowych zmierzchów spuśćcie ciężką Ciszę —
Niech z rdzawopiennych świerków uroczyska
Płacz stratowanych pobojowisk spłynie
W widm tłum szalony
Grozą ostatnich pacierzy —
— Ten spokój może usłyszę.

ŻAL.

Ojcze słoneczny! ty, coś promienisty
Tem, że wszelaką prześwietliłeś nędzę!
Dusz jasny Władco,
Przed którym w świętej niemieję bojaźni —
Ty, co w otchłani przebywasz błękitu,
A mnie z podziemnej wyrwałeś otchłani —

I widzisz we mnie jak w górskim potoku —
I każdą myśl nazywasz, nim się zrodzi
Z mrocznych odmętów —
Ojcze mój! zkąd dzisiaj ten żal tajemniczy
W twojego dziecięcia duszy —
Gdy wsparte na rękach skrzydlatych
W pogodne twe patrzy lice —
Ciche jak słońce, gdy przez wodne mgły odpływa? —

Promienna Głowo!
Gwiazdo rodzinnej przystani
Świecąca fali tułaczej —
Dziwnie tęczową
Rozświetniasz się dziś aureolą.
Tak się otęcza księżyc,
Gdy go przed ziemią tuman przejrzysty osłoni —

Jasny Rodzicu!
Ty, coś mnie świętej Mężnych nauczył bojaźni!
Patrzyłam dzis na słońce —
Dziwnie złociło się mym oczom —
Promienniej jeszcze niż zawsze,
Lecz jakby bledszą, umęczoną twarzą —
Jakby w niebieskiej zasmucone kaźni —
I nędzy wszelkiej łaskawsze — —
Jakby te jasne dokoła promienie
Koroną mu były cierniową —
Uśmiechem w cierniowej koronie
I nieobjętą dla ziemi
Skargą —

I gdym w ten rozzłocony, cichy
Patrzyła żal —
Co w żyły lał mi się mocą i światłem w oczy

I dziwną w serce zadumą —
Ja, nędzarz, ja, robak lichy,
Przed tobą, królewskie słońce,
Drgnęłam żalem — —
Powiedz, mój Ojcze! więc w niebie
Nie kończy się cierpienie? — więc tam — w górze —
Gdzie mi się zjawiasz w chwale,
Jest Nędza — boska, niepojęta Nędza, —
I Ty, mój Ojcze ......

I gdy tak stałam przed słońcem,
Pławiącem się w dziwnym blasku,
Jak w złotej krwi własnej — lub łzach
Niebieskiej kaźni —
Nieznana zdjęła mnie trwoga —
Jakby na płycie grobowca
Znak do mnie przemówił tajemny —
Nieznany przeszył serce, złoty ból —
Mgłą złotą przesłonił się wzrok —
I czoło skrzydlate
Wzniosło się cicho ku tobie
W dziecięcej serca bojaźni — —

I zstąpił na mnie płacz,
Że i to słońce jest grobem —
I zstąpił ból niezmierzony,
Że ból w nim światłością szafarzy —
Że światłość ta jasna, cicha,
Co w ziemię spływa potęgą żywota,
To całopalnych ostatnich ołtarzy
Straszliwy ogień w zenicie —
To boskiej, najwyższej nędzy
W najwyższych ofiar wświecanie się dobę.

Więc padłam twarzą na ziemi twarz
I piersią wryłam się w piersi senne —
By wtopić w jej serce żądzę,
Co we mnie rosła wzdęta morzem żalu —
Żądzę dziecięcych serc,
Miłości świętą płonących bojaźnią, —
By żalem twym zapłakać — Ojcze jasny!
By nędzę twoją cierpieć — Nędzo święta!
By twą niebieską — Słońce! — spłonąć kaźnią — —

DUMA.

Płynie albatros ranny nad morzem,
W czerwieniach zmierzchu, jak czarny krzyż —
Jednem się skrzydłem rwie w gwiezdne głębie,
Drugiem, omdlały, potrąca wodę.

Leci albatros ostatkiem siły,
Z rany się toczy strumieniem krew —
Krwią się zapala niebo i morze —
Przez krwawe ognie gna ptak mdlejący.

Gdzie dłonie, co go z wód groźnych zdolne
Wybawić — wstrzymać płynącą krew —
W sercu mu gniazdo uwić spokoju —
Gdzie takie wielkie serce — i dłonie?

Z skalistych zrębów nocny włóczęga
Patrzy żałośnie w posępną dal,
Kędy ostatkiem sił ptak zraniony
Swe krwawe, ciężkie opuszcza skrzydła.

Nie jemu ranne ptaki brać w dłonie —

Tchem słodkim koić płomienie ran,
W ramionach ostrów mu dać zdrowienia —
Ni w sercu grotę snów, co kołyszą.

On tylko, z ponadżlebnych krawędzi,
Kędy, sam, w głębiach nocy się pnie,
Na mórz skrwawionych głuchą balladę
I na krzyk trwogi rannego ptaka —

On tylko swoją może zadumę
Dać ciężką, głowę zamknąwszy w dłoń —
I jęk, co padnie w otchłań bezdenną,
Która go dzieli od reszty świata —

Od niw radosnych i mórz tych krwawych,
Kędy, mrąc, leci zraniony ptak.

BÓL FATALNY.

Adamie! ojcze w grzechu! grzech twój cierpię!
Grzech i klątwa mnie twa w otchłań ściga!
Darmo duszę swoją chwytam w ręce —
Darmo ją chcę wdusić w trumnę piersi —
Jak drapieżny ptak pierś mi rozrywa
Swych pazurów groźbą i popłochem —
Z rąk mi pierzcha — przez ramiona spływa
Jak olbrzymia, pasorzytna grzywa —
Jak niewyczerpana nigdy łez kaskada —
I bez chwili ciszy pada w bezmiar —
I ostatnie fale z żył mych toczy,
By spadały wiecznie w otchłań szlochem —
I wciąż nowe bije mi do serca —

I zanurza je w tej krwi ofiarnej —
By je wyżąć w szale rąk jak szmatę —
By nie znało chwili odetchnienia —
Jednej chwili ciszy! — Wieczna męka!
Ból tworzenia cierpię — Ojcze w grzechu!
Ah, i nigdy bólu nie wyczerpię!

Konieczności bicz nieubłagany
Gna mnie z trudu w trud, zapału furyą —
Zachwyt jedni płodzi ból rozpadu —
Wnętrzna moc skupienia wnet nazewnątrz
Jak wezbrana lawa się rozprasza —
Duch nie może zawrzeć w sobie cudu —
Wre pod wodospadem płytka czasza —
Pryska skier miliardem w otchłań pustą
I zostawia suche dno mym ustom.

Zachwycone światłem rwą się skrzydła —
Pierś wezbrana dymi żądzą lotu —
Lecę — ziemia kłębem mgły w głąb' znikła —
Złota brama świeci w chmurach nieba.
Ah! i nagle trzask się rozległ głuchy —
Straszny mrok zawrotu padł na oczy — — —
— To w odwieczne uderzyłam sidła!
To krew bucha z mózgu w spiekłe usta!
Płynie krew z otwartej znowu rany —
Toczy się wieczysta krwi kaskada —
Miecz tworzenia rozdarł świeżą bliznę —
Krew się toczy — w czarną otchłań spada —
Pękła pierś wezbrana — pryska czasza —
Skier miliardem, szydem piekieł dzwoni —
O boleści! klątwo! grzechu! — — Tworzę!

Jak za kulą w morze rwie skazaniec,

Spadam w chaos, w wir, — uderzam w skałę —
Wrywam się jak granat w nią — wybucham —
Piorunowym lotem gardzi niebo —
Między prochy wraca piorun nieba!
Bije w łono ziemi — i wytapia
Kryształ mętny — — ludzkich tworzeń słowo!

Cichą mgłą wymknęłam się odmętom
I do słońca płynę wciąż lotniejsza —
Pod ognistym wzrokiem jego twarzy
W purpurowy płomień rozwichrzona.
— Nagle — jakby między niebios stropem
Gorejącym a dymiącą ziemią
Rozsunięto lodu płynną taflę,
By nie spłonął świat od ognia słońca —
Nagle na mój wzbity dym — na duszy
Mej kadzidło wniebowzięte — spada
Mróz — mgłę ścina w grad — w dół spycha — zwala —
I spadam — spadam — spadam — spadam —
Ja obłok niemy — gradem słów!

Tworzeniem zmiera mi dzień każdy,
W proch lecą szczeble do wieczności —
Słońce gra w niebie — huczy morze —
Gna z wiatrem niwa zbóż pachnąca —
Bezcenne księgi leżą w pyle —
Księga mej duszy — księga świata —
Czas dzień za dniem pożera — spala —
W śmierć toczy się me krótkie życie —
A ja szalona, ja nieszczęsna,
Wyjąc swą wiekuistą raną
Grzęznę w rozpuście twórczej męki —
W otchłani czarnej, złej — wzbronionej —
Wiję się — walczę — błagam — zgrzytam —

Dławię słów węże — słuch zamykam —
Nie chcę! przeklinam! — Sił już nie mam.
— Ah, na to tylko już me siły
Idą, by walczyć z własnym Losem,
Wyczerpać do dna mękę działu,
Której nic nigdy nie wyczerpie!

* * *

Moc niezbadana, sroga, niema,
Drga ciężkim nad mą głową sądem:
„Wszystko dać musisz! — co do włókna
Spłacisz, coś wziął, nim zdjęta klątwa!
Skra wiedzy ci nie będzie dana,
Aż w płomień dawnej nie rozniecisz,
Nie wtłoczysz w ziemię twórczą męką,
Nie wtopisz w słowa ogniem bólu!
Darmo nic! Skrzydłem twem ciężary!
Okupem ciężki, jak ładowny
Wielbłąd, pod górę — o Wiel-błądzie! —
Wspinać się będziesz. — Lot nie dany
Adama synom. — Syzyfową
Pracą nieść będziesz głaz na głazy —
Aż w niebo dźwigniesz Górę Śmierci!
Aż przedrze się przez strefy lodu
Twych całopalnych mąk Golgota,
Kędy się w grad mgła ścina płocha
I ptaka lot uderza w sidła —
Lecz niewzruszone stoją Głazy!
Wtedy zawistne niegdyś chmury
Przed ziemi cię zasłonią okiem —
Otoczą góry pierś — a z szczytu,
Kędy nie sięga ptak ni tuman,
Ognisty zstąpi wóz zachwytu
I duch twój wolny porwie w słońce".

NA ROZDROŻU.

— Gdzie idziesz, naga? — Po płaszcz z gwiaździstych zamieci.
— Sama? — Na wietrze gniją ostatnich zwłok strzępy.
— Zkąd? — W bagnach śmierci kwiat pachnie, tańczy i świeci.
— Głodna-ś. — Wnętrzności wyżarły pożądań sępy.

— Uciekasz? — Gna mnie z przepaści wzrok zimny, tępy.
— Idziesz bez żalu? — Nie płaczą matki twe dzieci.
— Wrócisz? — Księżycem w twej duszy senne ostępy
I błyskawicą wszechzgrozy, gdy pierś twą prześwieci.

— Stań chwilę. — Pali me stopy jesienne ściernisko.
— Wezmę cię w ręce. — Oczy twe syczą jak żmija.
— Piękna-ś! — Pięknem jest wszystko ginące — gdy mija.

— Wejdź w dom swój dawny. Rozpalę smolne ognisko. —
— Dymi twoj ogień — i wilczym jękom za blisko.
— Tyś nasza! — Niegdyś. Dziś wolna, sama, niczyja.

* * *

W noc chmurami złowieszczemi ciemną
Leżałam jak zwalony krzyż,
A duchy mocowały się nade mną
O mnie —

Jeden o buławę wsparty stal niezłomnie,
Rozkazując przepotężnem swem milczeniem:
Pojdzie wzwyż.

Drugi szeptał przez obłęd i trwogę,
Wbity we mnie rannych ócz płomieniem —:
Bez ciebie żyć nie mogę —
Czoło zbliż —
Chodź do mnie...

W noc chmurami złowieszczemi ciemną
Leżałam jak zwalony krzyż,
A duchy mocowały się nade mną
O mnie —

LOHENGRIN.

On jest z hartownej stali — z dyamentu.
Ludzka w nim dusza łka — lecz nie wybucha.
On rozkazuje wściekłej wrze odmętu —
Smok pod zwycięską legł mu stopą ducha
I nie ma innej mowy — prócz lamentu.

On cię miłuje, duszo pół-zwierzęca,
Lecz gardzi ócz twych łzawych błyskiem zdrady,

Lecz twój syreni śpiew go w wir nie znęca,
Lecz nie pogrąży lica w uścisk śniady,
Co mu Dalili splotem kark okręca.

Niż uledz skarg twych czarom, o Kochana!
Piekielnym raczej podda cię katuszom.
Miłości Wola mu nad tobą dana.
Więc zbądź złej żądzy, duszo! słodka duszo!
Legnij snem dziecka w piersi swego pana.

PEŁNIA.

Z dnia Przeznaczenia zniknęła kresu konieczność.
Niepokój pierzchł, już nie drży krok mój pośpiechem.
Bezmiar mą drogą i czasem moim jest wieczność,
Jutrznia i zmierzch — rozfalowanych mórz dechem.
Pługiem mym słońce. Noc siecią w Morze gwiaździstą.

Z zegaru doby znikły godziny tułacze.
Pierś każdej mglistą
W kamienny hieroglif znaczę.
Jedna po drugiej mnie wita
Wolnym obrotem
Swej dwulicowej głowy —
Broń dźwiga obosieczną —
Strach nowy i nowe męstwo —
Tchem wieczną rozżarza
Tęsknotę —
Groźbą zgrzyta —
Moc wraża —
Śmierć niesie i z śmiercią zwycięstwo — — —

PRAGNIENIE.

Jak nurek w ciężkim, szklanym swoim dzwonie,
Pragnę iść na dno, tonąć z swym ciężarem.
Szukam otchłani, która mnie pochłonie,
Podmorskich świateł olśniewając czarem.
Jako dojrzałe zeschłych kłosów ziarno,
Dręczone skarbem niemej tajemnicy.
Pragnę się w ziemi pierś pogrążyć czarną,
Ujść oku słońca i ludzkiej źrenicy.
Jak wód rozgrzanych opar w noce letnie,
Tak zniknąć pragnę, oddać się niebiosom,
— Aż mnie ojczysty wiatr na obłok zetnie —
Iskrą powrócę wtedy — tęczą — rosą.
Jak chce szlachetna ruda tyglów waru,
Pragnę się stopić, spalić, zwęglić, zginąć —
Zniszczeć na popiół w orkanie pożaru
— I z prochu skrzydła Feniksa rozwinąć.
Pragnę z pamięci świata tak doszczętnie
Wymrzeć, by z nazwy nie zostało śladu —
By mnie nie poznał nikt po dawnem piętnie,
Gdy ląd pozdrowię z floty mej pokładu.
Chcę uciec, zniknąć, zginąć — jak nurek, ruda, mgła, [ziarno;
Przeistoczenia szukać w morzu, w ogniu, w chmurach, [w ziemi,
Przeistoczony wrócić w głusz mego domu cmentarną,
Z twarzy osłupionych czar ustami zdjąć budzącemi———

PROŚBA.

Wiem, że się tutaj na ziemi nie ziści Wielkie Marzenie,
Co w sercu mem tron objęło strąconej w niepamięć Zbrodni.

Wiem, że Twojego Synostwa w swych ludzkich kształtach
[niegodni
Ci, co w płomieniach Gehenny srom ich gwałcili szalenie.

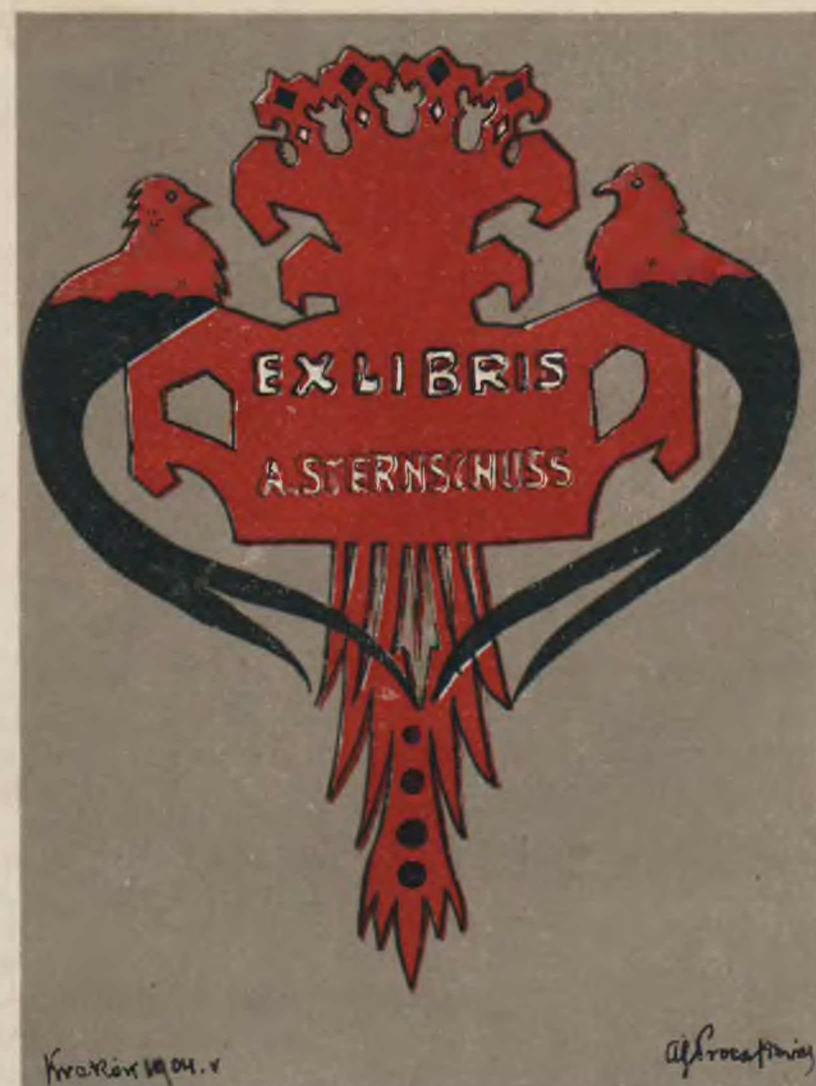
—

Wiem, że ta Jutrznia spóźniona, co noc mą czarną w różany
Zachwyt owieńcza, nie wejdzie słonecznie w tęskny dom nędzy;
Że przed Południem odejdę, wydana śmierci, pomiędzy
Tlum niespełnionych Powrotów, milczącym wichrem w dal
— *[gnany.*
Ojcowski niegdyś lęk wieszczy, od Jutra żądając znaku,
Znalazł nad głową dziecięcia ten w Księdze wyrok złowrogi:
„Zliczyli wszystkie me kości, — przebili ręce i nogi". —
Przedwieczność wplotła me imię do całopaleń orszaku.

—

O śnieżno-błękitnych zmierzchach, w mrocznej splątanych
[drzew gęstwie,
Zadumą wyroczną błądzi duch mej ostatniej godziny.
Od wielkich skrzydeł po ziemi wlecze się cieniem Krzyż siny —
Krzyż w niemy głos się rozdzwania o dobrowolnem mę-
— *[czeństwie.*
Zapóźno ocknął się martwy, by niósł przed ludem Pochodnię,
Pęknięty filar nie wrośnie w strop Nawy kwietną głowicą.
Więc w dniu trzebiącej siekiery — daj, Panie! hart bladym
[licom,
Niegodny Chwały syn ziemi niech śmierci cios przyjmie godnie.

Marya Komornicka.



EX-LIBRIS, autolitografia czterobarwna
A. PROCAJŁOWICZA.

Zródła i ujścia nietzscheanizmu [1]).

I.

W czasach, gdy możliwie szybkie wykształcenie ku możliwie rychłej sprawności zarobkowej wyklucza nieomal zupełnie wszelką kulturę,—„gdy ta najlotniejsza i najbardziej eteryczna bogini stała się dziewką i dójką zarobku... gdy wszystkie po za granicę pożytkową wybiegające dążenia popadają coraz to wyraźniej w lekceważenie i pogardę... gdy heroldzi oświaty ludowej, widziani zbliska, okazują się fanatycznymi wrogami prawdziwego ukształcenia,“ — w czasach takich pytanie wartości naszej kultury, oraz jej wskaźników na przyszłość, narzuca się z nieodpartą siłą. Podział pracy do-

[1]) Zamiast wstępu do polskiej edycyi pism Fr. Nietzschego. (Wydanie J. Mortkowicza. Patrz prospekt dołączony).

prowadza powyższego ducha kultury do dalszych konsekwencyj, podział pracy tyranizujący nawet uczonych, którzy po za ciasnym zaprzysięgłym zakresem swej fachowości staczają się w rzeczach ogólnych i najogólniejszych coraz bardziej na intelektualny poziom trywialnej pospolitości.

„Wszystkie pytania najogólniejszej i najpoważniejszej natury, wszystkie miary, wagi i wskaźniki życia, wszelka łączność między pojedyńczemi wysiłkami ludzkiemi, wszystko, co z chaosu tworzy kształt życia, stało się niepodzielnem władaniem dziennikarza." — Ogarniając bądź co bądź szersze widnokręgi życia, myśli on za innych, on kształci, wychowywa, on kieruje nawą, doprowadzając ducha współczesnej oświaty do jego ostatecznych granic i konsekwencyj.

Za sprawą tego ducha „rozlegają się miasta wrzaskiem uczonego motłochu," „zaludniają się pokoje i sale pretendentami do nauki, rozumu i dowcipu, na których wspomnienie drży rozsądek, a które raczej lazaretami moralnemi nazwaćby należało." — Że nie są to twory wyłącznie obcego życia i wczorajszego poczęcia, świadczą bodaj powyższe słowa Jędrzeja Śniadeckiego. Różnica jest tylko ta, że wówczas były to wytwory nowe i naprzykrzające się zaledwie rozsądkowi, zaledwie pierwsze plewy w plonach Komisyi Oświecenia; dziś zaś stanowią one atmosferę, w ktorej żyć i działać wypada, są nieuniknioną, a tyranizującą instancyą wszechwładnej *chwili*, są żarnami, w których najsiewniejsze nawet ziarna rozpylają się na chudą strawę codziennie nowej ciekawości.

Tkwiąc w tej atmosferze sądów kapryśnych i fałszywych, sądów dusznych, bo nie wychodzących najczęściej po za granice ludzkiej próżności, interesów i potrzeb, — zniewolone życiem do nieustannych na rzecz ich ustępstw, połowicznych zgodności i kompromisów, — nikczemnieją

największe nawet zdolności, mając pozornie do wyboru już tylko uparte wyjaławianie się w gorzkiej melancholii, w cierpkiem i bezcelowem (bo nieochoczem) odosobnieniu.

„A niemasz nic żałośniejszego, nad ludzi, którzy zminęli się ze swym geniuszem.“ Zezujący na prawo i na lewo, zazdroszczący każdemu jego każdości, bakałarzujący jak te dawne dziady po wszystkich gościńcach, czyhający z zawziętą radością na wszystko chybione, upokorzeni do głębi wszystkiem, co udane, — ludzie ci żyją już tylko negatywnie uświadamianiem sobie szkód, jakie inni przynoszą. To jest karmem i miodem ich ducha, kołowrotem dla ich myśli. Obmierzłem staje się wreszcie obcowanie z temi ludźmi, których niepospolita nieraz inteligencya odzyskuje całą swą żywość, nagłość i prężność wobec rzeczy ujemnych, a staje się kapryśną, gnuśną, zdechłą wobec dzieł i czynów dodatnich.

Gdzie się atmosfera tem tchnieniem bakałarstwa zagęści, tam każde ochocze poczynanie grzęźnie jak ta siekiera z przysłowia. A biada temu, kto prócz ochoczości ma jeszcze i cierpliwość do stracenia. Gdyż owo niebezpieczeństwo życia wyłącznie negatywnego — smutno i wstrętnie uświadomić to sobie — grozi właśnie najlepszym, najofiarniejszym: stracił cierpliwość i zaczyna walczyć; w rezultacie tylko sam przejmie zarazę. Bo tajemnica tej zarazy psychicznej tkwi we wrogościach drobnych, jest jadowitym wawrzynem małego zwycięztwa.

Im rzetelniejsze i głębsze zadatki, tem rozpaczliwiej szamotać się muszą w tej pajęczynie zapleśniałych kątów; im szlachetniejsze płonki, tem rychlej więdną w tem zatęchłem powietrzu.—„Bądź sobą!“ — te najprostsze słowa nie dochodzą do nich nigdy, słyszą natomiast nieustanne: „bądź czemś dla kogoś lub czegoś.“ Gną się tedy, naginają i łamią do obowiązku. Łamią się najtragiczniej, bo

w ten obowiązek przez pół już tylko wierzą, natomiast sobą jako bierną ofiarą gardzą całkowicie i rzetelnie.

„Kim jesteś? coś najbardziej ukochał? co twą duszę pociąga, opanowywa i uszczęśliwia najbardziej?“ — kto z młodych i gdzie takie pytania dziś słyszy. A każdy z nich czuje tłumionym instynktem życia, że naokoło nagromadziło się mnóstwo gruzu z rzeczy, które niegdyś żyły, a dziś w imię troskliwej obłudy nieuprzątane wytworzyły mur graniczny między duchem i wolą, książką i życiem, każdą ideą a jej czynnem ujawnieniem.

Ów mur, wyłącznie zarobkowy duch dzisiejszego wykształcenia, działalność tłumiąca bakałarza i kierownicza dziennikarza: oto czynniki wychowawcze młodego pokolenia.

Bluszczowe to i kobiece natury ci wszyscy, którzy po to tylko żyją, aby poczynali i rodzili, i tem zawczasu przyziemnie karleją, że nie znajdują w otoczeniu oparcia, i tem też więdną przedwcześnie, że, gdy jeszcze samodzielnie żyć nie zaczęli, już wszystko naokół wyjaławiać ich się stara.

I oto znajdzie się ktoś, co wątłością pierwszych poczynań i szamotania się młodzieńczego nie pogardzi jak otoczenie, nie zlekceważy ich jak bakałarz, lecz ujrzy w tem najlepszych zadatków wyraz bezsilny. Nie człowiek to może (i lepiej, że nie człowiek!), lecz książki duch, w najlepsze wnętrza zapatrzone najszlachetniejsze oko, oko rozumne, co z ośmieszanego entuzyazmu rozgrzesza, oko płomienne, co samo ten entuzyazm nieci, duch szczodry, co wir poczynań w tobie budzi i to nagłe prężenie się sił, których istnienie w sobie witasz zdumieniem i łzami wdzięczności za życie.

„W tem łgnieniu serdecznem do najrzadszych, najcenniejszych okazów człowieczeństwa,“ — powiada Nietzsche, — „w tej miłości początkowo bodajby służebnej zyskuje dusza jasne, pogardliwe wejrzenie na siebie, lecz

zarazem pragnienie wyjścia po za siebie, ku gdzieś ukrytej wyższej jaśni, i żądzę dotarcia do niej skupieniem wszystkich sił.“ A jest to pierwsze święcenie kultury. Oraz czyn *twórczego wychowawcy*.

Pierwszym duchowym czynem Nietzschego było odczucie potrzeby takiego wychowawcy, odczucie tak intensywne, że ono nakreśliło linie dalszego jego rozwoju, uświęciło to życie celem. A wówczas człowiek zwykł się oddawać na służbę i ofiarę swemu dziełu, a pustelnictwo jest takiego życia koniecznością. W języku najniepoprawniejszych marzycieli dzisiejszych zwie się taka egzystencya nieobecna — życiem w treść najbogatszem.

Pisma z tej epoki stoją pod wpływem Schopenhauera i pod znakiem uwielbienia dla Wagnera. Nie należy wszakże zapominać, że i filozofia Schopenhauera i sztuka Wagnera miały dlań przedewszystkiem znaczenie kulturalnej dźwigni: pierwsza jako najgenialniejszy może wyraz niemieckiego ducha, do którego zwracały się podówczas wszystkie lepsze umysły; druga przez potęgę muzycznego wyrazu, przez powinowactwo z grecką tragedyą, przez sięgnięcie do najczystszych źródeł poezyi niemieckich sag i celtyckich legend, wreszcie przez olbrzymią, dotychczas bezprzykładną koncepcyę sztuki. Entuzyazm był pierwszą odpowiedzią młodego wychowańca w lgnieniu serdecznem do tych dwóch geniuszów wieku. Jądro metafizyki Schopenhauerowskiej (aby pominąć sprawę Wagnera) pozostawało na uboczu. Wszakże, gdy ten problem kultury się rozszerzył, gdy objął zagadnienia moralności, genezę i teoryę morału, gdy przybył, przemijający zresztą, wpływ psychologów angielskich i angielskiego pozytywizmu, — upadł wraz z uwielbieniem dla metafizyki i sztuki entuzyazm dla Schopenhauera i Wagnera. Głębszym i dalej sięgającym był wpływ moralistów fran-

cuzkich i wogóle zapoznanie się z pisarzami francuzkimi 17 i 18 wieku.

Mimo wszystko, o uleganiu obcym wpływom może być właściwie wtedy tylko mowa, gdy one odwodzą w przeciwną stronę, gdy w dalszych dziełach gubi się wytycznia pierwszych. Kto kapryśnie chwytać będzie tomy Nietzschego, ten może odnieść wrażenie ustawicznego zwalczania się najróżnorodniejszych wpływów; kto je zechce czytać kolejno, rozumiejąc, że ma do czynienia z dziełem życia, z dziełem dojrzewającem, ten skłonniejszy będzie szukać podziemnych prądów tych myśli, które, cudzemi wpływami pozornie tłumione, dojrzewały stale, i jasny, twardy swój wyraz znajdują w tomach ostatnich.

Inne „sprzeczności“ wynikają ze zgoła odmiennych powodów i tkwią w, tak niesłusznie zwanej, aforystycznej formie pisania; są one często przez pół zamierzone, a nieraz nawet i konieczne. Wszak mowa tu o rzeczy tak ruchliwej, że chwilami wprost nieuchwytnej, tak proteuszowej, że już odmiennej, zanim ją pojęcie ogarnęło, a słowo nazwało; wszak mowa tu o przejawach duszy ludzkiej.

Środki ku oddaniu tej ruchliwości w sprzecznościach posiada artysta plastyk dzięki narzędziom obrazu, symbolu, życia. Cóż ma czynić operujący pojęciami analityk, zwłaszcza gdy jest „wirtuozem w pytajnikach,“ gdy upodobał sobie „skoki i uskoki“? Czy nie spróbuje np., wzorem artysty, krótkim, bocznym błyskiem światła, sugestyonować nam przedmiotu w kształtach i perspektywie niezwykłej, monstrualnej, na to tylko, aby tem zadraśnięciem wyobraźni uczynić myśl czujniejszą na szczegół, o który chodzi? Czy nie ulegnie złośliwej pokusie: rzec, aby wnet potem zaprzeczyć, — by tą zagadką niespodzianego paradoksu, tym pytajnikiem zawieszonym w powietrzu, nie rzucić w nas niespokojnego zarzewia stu innych pytań zamiast udzielenia jednej odpowiedzi, — bo takie py-

tania mówią nieraz więcej, wiodą dalej, bo nowe pytania i nowa zagadka mają dla badacza więcej uroku niźli uświadamiająca się już odpowiedź, bo w szczęśliwej chwili prześcigają mu się one. Zaś w tych wędrówkach po labiryntach duszy ludzkiej, rodzący się niepokój nowych wątpliwości, jawiący się jakby na żywo, w oczach czytelnika, budzi w nim żywy współudział myśli, zaostrza pobudliwość psychologiczną ku dalszym, bardziej subtelnym zagadnieniom.

Taki pisarz—myśli cudzych na pasku nie wodzi, czytelników chce mieć takich, co myśl wszczętą sami domyślą do końca, pragnie, by jego międzywiersze były dla nich nutami do myślenia, a jego „skoki i uskoki“ — nowej myśli krzyżowym błyskiem, nieomal wezwaniem do sprzeciwienia się jemu.

Te świetności giętkiego stylu stoją nieraz na pograniczu muzycznem: to są prawdziwie nuty wymagające nietylko muzykalnego ucha, wprawnych oczu, lecz i giętkości nieomal fizycznej.

Nic tak nie obrażało niedawnemi jeszcze czasy niemieckich profesorów jak świetny styl w książce niemieckiej, — nic też większej nie wzbudza nieufności u ich przykładnych i pilnych uczniów ze wschodu. Nie był to czynnik błahy w tak długiem i upartem ignorowaniu Nietzschego przez pewne sfery.

Pisano tedy obficie o filozoficznym i psychologicznym dyletantyzmie wiecznego podróżnika; w ostatnich czasach dopiero zaniechano epitetów dla rozejrzenia się w bogatej puściźnie po dyletancie, który gotów stać się fatalnością dla ludzi fachu. Jeśli idzie o dyletantyzm, to niemniej prawdopodobnie mieli prawo do nazwy tej Montaigne, La Bruyère, La Rochefoucauld, Chamfort, ci najwięksi po dziś dzień mistrze i analitycy duszy nowożytnej. — Czy Nietzsche był filozofem w znaczeniu podręcz-

ników? Nie był nim (krańcowo zresztą odmienny) Rousseau, nie był nim (podobniejszy) Voltaire, nie byli nimi w ścisłem znaczeniu i encyklopedyści: zgoła ci wszyscy, pod których panowaniem bywał w nowszych czasach duch ludzki.

Styl Nietzschego, o tak szerokiej skali, staje się wówczas najbardziej giętkiem narzędziem, najpotężniejszym środkiem sugestyi, gdy o duszy współczesnej mowa.

Rzuca wtedy najśmielsze linie konturów, rzeźbi najjędrniejsze bryły, nakłada najgorętsze barwy obrazów i przenośni, porywa myśl w najodleglejsze dale najzłudniejszemi mirażami symbolu, rozdziera najgnuśniejsze chmury apatyi błyskawicami gniewu, płomieniem nienawiści rozniecа wszystkie namiętności, niewoli wszystkie uczucia „wnętrznym żarem tonu," płoszy je zimnemi błyskami analizy, ujarzmia wreszcie człowieka nagłem, niespodzianem cięciem w głąb', aż do najskrytszego uczuć nerwu.

Tego przedziwnego narzędzia słowa stał się Nietzsche mistrzem pierwszorzędnym.

Owe zaś przejawy ludzkiej duszy, które tem narzędziem analizuje, są nieraz zbyt migotliwe, zbyt tęczowe, zbyt skłócone, gwarne i wirowe, aby mogły być czem innem ważkie prócz tego jądra *arcyludzkiego*, jakie ukryć się starają, — prócz istotnych „wartości życia," prócz probierzy ideałów, jakiemi człowiek opanował dzisiejsze formy życia.

O życiu tu mowa: o jego ruchliwej powierzchni, o skrętnych pozorach obłudy, o omamach ideału i morału, wiodących w najciemniejsze labirynty duszy ludzkiej.

Może te napomknienia tłómaczą się już same. Oto mistrz słowa, genialny analityk, niewyczerpany wizyoner obrazów i symbolów, dla którego najbardziej pociągającą zagadką jest życie współczesne i dzisiejsza dusza ludzka: —

taki pisarz nie jestże przedewszystkiem z krwi i instynktów — poetą?

I oto istotna sprzeczność w Nietzschem i skłócenie ducha sięgające korzeniami w głąb' natury wszechludzkiej: ta wieczna rozterka płomiennych uczuć z chłodem myśli; marzycielskiej, tanecznej wyobraźni z surowym spokojem ścisłego wnioskowania; udręki poety, co się za szaleńca jeno ma, za widmo tęczowe, za wygnańca z dziedzin prawdy, z intuicyjnem wyczuciem najgłębszych tajników życia, paraliżowanem nieufnością myśliciela do wyczuć i intuicyj.

A ta rozterka potęguje się w duszy twórczej do wróżdy potęg, do nieustannej walki światła z cieniem, miłości z prawdą, dnia z nocą, Ormuzda z Arymanem: do kosmicznych wprost mocy wszelkiej genezy! Lecz takim bywa pono zawsze pierwszy dzień tworzenia.

Są natury nadmiarem właśnie i bujnością idei tak fatalne, że dzień każdy jest dla nich tworzenia dniem pierwszym, że każdy ma coś z chaosu dnia pierwszego. Kilka stopni niżej, woli nieco mniej, a chaos ów tłumi moc twórczych owładnień, i zewnętrzna martwota jest wyrazem wewnętrznej bujności. O wiele stopni wyżej, woli o wiele więcej, a i w następne dnie przeniknie owa waśń wewnętrzna, to nieustanne ścieranie się potęg, przewyższające nieraz siły ludzkie, a wraz z niemi jakiś groźny okłęb, zachmurzający ów dzień siódmy, w którym twórca na dzieło swe spogląda, aby rzec: „dobre jest!“ To jasne południe dnia siódmego, wymarzone święto świąt, zamroczyła Nietzschemu ciężka chmura obłędnej melancholii (w której konało odporne ciało w przeciągu lat jeszcze dziewięciu).

Za myśliciela i człowieka doznał takiego południa — poeta, w cudownej jego wizyi — dla Zaratustry.

Indywidualne w nim samym ustosunkowanie tych dwóch wrogich mocy, lub może brak trzeciej potęgi: harmonii (jak u Goethego), którаby nad tamtemi dwiema zapanować zdołała, — wykreślają tymczasem Nietzschego z rzędu tych, których pospolicie zwie świat wielkiemi filozofami, a zarazem nie zmumifikowały go jeszcze w podręcznikach jako wielkiego poetę.

Rozterka ta, wiodąc nieubłaganego analityka do nihilizmu zasady: „nic nie jest prawdziwem, wszystko jest dozwolonem,“ — burzy moraliście z krwi aryańskiej i z tradycyi trzech pokoleń pastorskich wszystkie imperatywy, ratując go zasadą wychowawcy: „pereat veritas, fiat vita!“ Zaś tę koncepcyę wszechwładnego i tryumfującego życia wieńczy wróg metafizyki — metafizyczną ideą wrotu rzeczy wszelkich, a wróg poezyi — koronuje dzieło swego życia wspaniałym poematem: „Zaratustra.“

Jeśli wolno zestawiać filozofa i poetę koncypującego pewien ideał człowieka—z najwszechstronniejszym geniuszem, który przed wiekiem sam w sobie ten ideał ucieleśniał; wyzwalającego się z pod jarzma demokracyi „dekadenta“ — z przespokojnym wytworem arystokratycznej kultury; jeśli wolno zestawić Nietzschego z Goethem, — uderza przedewszystkiem daleko mniejsza uniwersalność pierwszego. Wspomnijmy tylko brak zainteresowań i zmysłu do nauk przyrodniczych, oraz względną obojętność w stosunku do sztuk plastycznych. Obie dziedziny ogarniał geniusz Goethego całkowicie, obie wiódł na nowe tory, wyprzedzając rozwój pierwszej o pół wieku co najmniej.

W stosunku do życia: tu pustelnictwo ze wstrętu do wszystkich współczesnych jego objawów, podkopujące wszystkie ostoje życia przeciętnego; tam tkwienie w pośrodku życiowej realności, bez istotnych zamierzeń burze-

nia jakichkolwiek ostoi, z duchem zawsze ponad życiową realnością, lecz z otwartemi zmysłami ku wszechstronnemu doznawaniu życia swą całkowitą pełnią człowieczą.

Epitet „spóźnionego romantyka," jakim obdarzano Nietzschego, jest nawet jako epitet całkowicie chybionym. Jeśli słowo „klasyczny" nie ma być formułką z podręczników, patyną nudy nakładaną przez profesorów na pewne dzieła i postacie, jeśli ma ono pewną treść kulturalną i sens historyczny, — wówczas świadomie klasyczniejszym (a te dwa pojęcia należą do siebie nieodłącznie) był Nietzsche. Był nim nietylko dla lepszej wiedzy dzisiejszej, która wykazała całą papierowość Winkelmannowskiego hellenizmu; nietylko dla zmysłu i geniuszu historycznego, będących zdobyczą niemiecką ostatniego wieku; lecz dla wrodzonych skłonności umysłu, który w okultystycznych mrokach pracowni alchemicznej, w grozie nocy walpurgisowej, wśród spiętrzonych alegoryj i zawiłej symboliki drugiej części Fausta, czuł się bądź co bądź obco, a natomiast u siebie — równie dobrze w świecie helleńskim, jak i wśród pisarzy francuzkich 17 i 18 wieku. Niedarmo zarzucał Nietzsche Goethemu i jego czasom, że, idąc coraz bardziej śladem urojonego hellenizmu Winkelmanna, odwracano się równocześnie od wzorów francuzkich, jak gdyby *najistotniejszych* rzeczy nie można się było równie tu jak i tam nauczyć. Klasyczniejszym podobnież był Nietzsche i w swej prozie (z wyjątkiem Zaratustry i może pism z ostatnich dwóch lat).

Ogarniał też Nietzsche szerzej widnoręgi dawnych czasów i kultur, kierowany przytem rzadkim zmysłem historycznym; jako mistrz duszy ludzkiej, patrzał bez wątpienia jednostronniej; jako psycholog wszakże i analityk docierał bezlitośniej do „spodów i podspodów" uczuć; jako poeta wreszcie, kto wie, czy w Emersonowskiej hierarchii

nie był mniej pisarzem, t. j., podlegał bardziej podszeptom niespodzianej intuicyi, nakazom natchnienia.

Ostatnie słowa mogą wzbudzać nieufność. Lecz oto co pisze N. w autobiograficznych notatkach z roku 1888 o powstaniu Zaratustry:

— Czy ktokolwiek w końcu dziewiętnastego wieku może mieć dokładne pojęcie o tem, co poeci krzepkich czasów zwali natchnieniem? Jeśli nie, gotów jestem opisać je. Przy najmniejszej pozostałości przesądów w duszy, byłoby wprost nie do ominięcia przypuszczenie, że jest się jedynie inkarnacyą, głosem, medium nadprzyrodzonych potęg. Pojęcie objawienia, w tem znaczeniu, że nagle z niesłychaną pewnością i subtelnością staje się widocznem i słyszalnem coś, co człowieka do głębi wstrząsa i zmaga, — pojęcie to określa poprostu rzeczywistość. Słyszy się wówczas — nie szuka się bynajmniej; bierze się — nie pytając, zkąd i kto daje; jako błyskawica olśniewa każda myśl, niechybnie konieczna, w formie niepodlegającej najmniejszym wahaniom, — ja nigdy nie miałem wyboru... Wszystko dzieje się w wysokim stopniu niewolnie, jakby w nawałnicy poczucia swobody, niezależności, potęgi, boskości. Niewolność obrazu i porównania jest może rzeczą najbardziej zdumiewającą: nie ma się wówczas pojęcia, co to jest obraz, co porównanie, — wszystko jawi się jako rzecz najbliższa, najsłuszniejsza, jako wyraz jedynie prawdziwy... Zachwycenie, którego niesłychane napięcie wyzwala się niejednokrotnie wytryskiem łez... Niesłychanie czujna świadomość nieskończonej ilości subtelnych wstrząsów i dreszczy aż po palce stóp. Taka głębia szczęścia, iż rzeczy najboleśniejsze i najbardziej ponure odczuwa się nie jako przeciwieństwo, lecz jedynie jako rzecz zależną, wywołaną, jako niezbędną barwę w tym nadmiarze światła... Oto *moje* doznanie natchnienia; nie wątpię, że o lat tysiące cofnąć się trzeba, aby znaleść kogoś, ktoby rzec mógł: „takiem jest też i moje!“ — —

Jakże odmienne odnosi się wrażenie z „Rozmów“ Eckermanna, jakże inaczej brzmi np. wyznanie Goethego, że cudze myśli i pomysły nosił w sobie tak długo, póty przeinaczał je w sobie, póty dojrzewać im w sobie pozwalał, póki wszystko cudze nie opadło niby skorupa z wytworzonego tymczasem własnego ziarna.

Może te zestawienia zdołają podsunąć myśl o *konieczności* pewnych kontrastów, mających swe źródło nietylko w charakterze umysłów, w randze dostojeństw duchowych i w kierunku dążeń?

Może te kontrasty mają swe potężniejsze i bardziej decydujące odpowiedniki w charakterze czasów i życia? Może między owym najbardziej dostałym owocem wielkiego drzewa jednolitej kultury, którego pień podcinano właśnie w owych czasach po tamtej stronie Renu,—a między tym wytworem kosmopolitycznej, przeciążonej historyzmem, demokratycznej kultury, takie różnice i kontrasty są konieczne, i w charakterze czasów i życia głębiej uzasadnione niźli w założeniach ducha? Może w obu najgłębsze sprężyny były jednakowe, — żądza pełni człowieczeństwa, żądza ujawnienia wszystkich bogactw natury ludzkiej, prężności wszystkich sił: ta zawsze jednakowa wola geniuszu?

Może między tamtem ostatniem dokonaniem a tą tęsknotą zaledwie toczy się rzeczywiście pierścień wrotu rzeczy wszelkich, a więc i wrotu człowieka pełnego, który ongi w życiu tkwił, nad nim wolą i duchem panował, zwał się chociażby Goethem czy Napoleonem, a dziś w połowie tej drogi, w pustelni Sils Maria, o życiu marzyć tylko potrafi, zwąc *samego siebie* Zaratustrą i nadczłowiekiem?

Czerpiąc z jednolitej i zwartej kultury, otrzymał Goethe w darze i jej harmonię. Życie takich ludzi, wyniesione podówczas wysoko ponad tłumną przeciętność, wykluczało istotne starcia instynktów i upodobań, rzetelności czucia i myślenia z cieśnią i obłudą życia niższego. Te fale rozbijały się gdzieś pod nim: mógł na nie patrzeć spokojnemi oczyma epika. Granice własnemu życiu i doznaniu zakreślała wola i ciekawość intelektu. Drzewo jednolitej i wyłącznej kultury, nieprzeciążone historyzmem, nie-

poobwieszane sztucznie obcemi owocami, nieposzczepione w gałęzie wyrosłe na innych pniach, rzucało mu pod nogi nieomal ostatnie najbardziej dostałe owoce zagadnień i odpowiedzi. Stanął jak posąg na granicy wieków i kultur, posąg tak olbrzymi, że do dziś dnia najbardziej widoczny (z germańskiej przynajmniej perspektywy!), a swą zwartą potęgą tak pociągający, że nic dziwnego, iż w chaosie czasów dzisiejszych, po wszystkich ślepych i błędnych drogach, nawołują się tam wszyscy zbłąkani zgodnem hasłem: „Zurück zu Goethe!“ On zda się im najpewniejszą ostoją; od stóp tego posągu, sądzą, wiedzie najpewniejsza droga w przyszłość.

Taką modę na pisarza i poetę stworzyć może w dzisiejszych czasach zręcznie w obieg puszczona doktryna literacka; rzetelną wszakże siłą przyciągającą poprzez wieki mieć będzie nie pisarz choćby najgłębszy, nie poeta bodajby najszczytniejszy, lecz ta siła, co ich obu stwarza: potęga wielkiej indywidualności, która i według Goethego jest najpiękniejszym z wymarzonych darów życia.

Jest ona czasu chaosu w wierzeniach, ideałach, probierzach i wartościach życia, najpewniejszem światłem, do którego garną się ludzie. Gdy się ta tęsknota zrodzi w sferze uczuć i potrzeby wiary, zwać się będzie Buddą, Chrystusem, św. Franciszkiem... Gdy się w sferze intelektu i jego potrzeb pocznie, gdy się ocknie w dusznych komorach zubożałego życia, pośród skarłałych w automatyzmie dusz, — wówczas oglądać się będzie za wyobrazicielem największej bujności człowieczej, ujarzmiającym życie wolą i własnym celem: twórczo i płodnie, — za najbardziej szczodrem bogactwem ducha i życia, największą prężnością wszystkich sił drzemiących w człowieku.

Gdy ta tęsknota, nie wyzbywszy się całkowicie pierwiastków wiary, zechce mieć koniecznie namacalne bożyszcze, domaca się wreszcie w przeszłości posągu, pod

którego stopy zechce cofnąć teraźniejszość k' woli przyszłości. Gdy się wyżej wzbije, w sfery ideału sięgnie, wytworzy może zlepek cnót rycerza i maga, twór bezcielesny bez podstawy na ziemi, lecz jako tęsknota tembardziej fascynujący, wytworzy ideał mędrca, twórcy i bohatera zarazem. Tej tęsknoty ideał ochrzcił Nietzsche mianem nadczłowieka.

Słowo brzydkie! Dla polskich uszu jest ono zlepkiem sztucznym; dla niemieckich nawet ma coś z ociężałości i przypadkowości terminu. Dla czytelników gazet jest ono naprzykrzeniem: wężem morskim, którego można znieść już chyba tylko w chwilach kanikuły i to w bardzo nowej i bardzo zabawnej anegdocie. Nadaje się ku temu doskonale przystawka „nad." Reporterscy pajace poczęli ją też przyczepiać wszędzie, a przedewszystkiem jako hałaśliwy pęcherz do własnego ogona. Dzięki im slowo to poznali nawet wszyscy głusi,—co więcej: wie o niem coś nie coś i polska prowincya.

Dla wybrednych uszu jest w niem tyle dziś wyszargania, że można na nie reagować dreszczem obrzydzenia. Wszakże przeciwko tym zarazkom wstrętu należy się dziś przedewszystkiem imunizować. Gdy wszystkie imiona i symbole skaczą dziś, brzęczą i kołaczą w kupletach, należy umieć podnosić perły ze śmietnika, a książki z nad rynsztoka, znajdując w nich nowe dla siebie piękno i nową dla siebie treść. Mamy wszak w Niemczech pensyonaty „pod Nirwaną," w Londynie szynki „pod Epikurem." Maluczko a ujrzymy bardzo już podejrzane domy „pod Platonem," arcy efektowne tyngle „pod św. Antonim," wreszcie, jeśli marzyć wolno, redakcye dzienników (jako szczyt kompromisowości): pod - nad - czlowiekiem.

Nomina sunt, dziś naprawdę, odiosissima.

Już oficyalny chrzest tego ideału, wiodącego nieświadomy i bezimienny żywot we krwi wszystkich ludzi wielkiego czynu, w instynktach wszystkich wielkich poetów, świadczy, jak bardzo oddalił się on od instynktu w dalekie sfery dyalektyki, jak bardzo świadomym, wyrozumowanym, intelektualnym stał się ten ideał — życia!

I tak oto w tem jednem słowie tkwić może klucz do bolesnych sprzeczności i skłócenia ducha. Życie, które odmładzać się może zawsze tylko u źródeł instynktu i woli, wobec tak uświadomionego, intelektualnego ideału stwierdza przedewszystkiem, że te źródła wysychać już poczynają. Ideał zwracający się wyłącznie do intelektu jest nieomal ostatniem słowem krytycyzmu i negacyi, pium desiderium intelektualizmu, który do naiwnych bodźców instynktu już nie powróci. Nadczłowiek za dużo wie i myśli o sobie jak na nadczłowieka, Zaratustra gotów się stać wiecznym zwiastunem samego siebie i tego progu nadziei nigdy nie przekroczyć.

Uczniowie zaś Zaratustry, „zapisani od góry do dołu znakami przeszłości, z których wołają natrętnie wszystkie czasy i ludy, wszystkie obyczaje i wiary... są jak malowane obrazy wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzono.“ Jakżeby tacy ludzie wierzyć mogli? Wierzyć przedewszystkiem w instynkt, w siebie? Jakżeby tacy ludzie mogli znieść określone horyzonty, które są nieodzowną koniecznością duchowej płodności? Napoły zmurszałe pnie, poszczepione w gałęzie najrozmaitszego pochodzenia, wydają owoce barwne, egzotyczne; lada podmuch wiatru wszakże strząsa je z gałęzi jako niewczesne, nieźrzałe, cierpkie i gorzkie owoce zawodu, rzuca je im pod nogi jako wyzywające pytajniki: „czemże ty jesteś? kim ty jesteś?“ Zachłanna pamięć i znużony duch ma jedną już tylko odpowiedź: „Wszystko już było!“

„Jest pewien stopień bezsenności i przeżuwania w historyzmie, przy którym wszystko żywe staje się coraz bardziej wątłem i zanika wreszcie: dotyczy to zarówno człowieka jak i narodu oraz całej jego kultury.“ — Tak bardzo uświadamiał sobie Nietzsche niebezpieczeństwo historyzmu w samem zaraniu twórczości.

Z drugiej wszakże strony, ułatwienie dostępu do na-

gromadzonych skarbów ludzkiego ducha, czerpanie z nich pełnemi dłońmi jest istotnym przywilejem współczesnego człowieka, jest więcej niż nałogiem zachłannej ciekawości, bo prawdziwym głodem dzisiejszego ducha, a w potrzebie ciągłej rozszerzalności swego ja, kto wie, czy nie największą jego rzetelnością. Ta potrzeba, przekraczająca nieraz fatalnie twórczą moc owładnień, jest wprost piętnem i znamieniem wszystkiego, co dziś głębiej myśli i czuje.

Czy to jest dobrze czy źle, najłatwiej roztrzygną oczywiście ci, co najmniej myślą i czują. Faktem jest, że tak być musi! Drugim faktem jest to, że taki stan umysłów i dusz czyni częstokroć tylko widzem życia, widzem czujnym i subtelnym, naprzykrzającym się scenie życia ciągłemi pytaniami, — że stan ten zwęża zakres osobistego życia i doznania; instynktów i woli (impulsów nieświadomych, a więc i twórczych) nie wzbogaca. Owo „pan-“ zda się być wrogiem Pana.

„Czem to tłómaczyć,“ pyta jeden z najsubtelniejszych pytających widzów dzisiejszego życia, — „czem to tłómaczyć, że właśnie ci ludzie o najbardziej rozwiniętej duchowości, którzy dziś jedynie na miano indywiduów zasługują, odczuwają swe istnienie jako niedolę, aczkolwiek, jako synom bogatej kultury, najszlachetniejsze owoce życia padają im bez mozołu w ramiona? Czemu nawet artyści i poeci, którzy przecież jako twórcy doznają najwyższej rozkoszy, stają się głosicielami tego złego poczucia się, jakie ogarnia rozkapryszonego syna współczesnej kultury, ilekroć przypomni sobie ułudne szczęście minionych czasów?.. Czemu nam wszystkim bez wyjątku ten nasz rozwój przynosi cierpienie? Czemu już tylko tak bardzo nieliczni zdołają wziąć na barki dziedzictwo przeszłości i nieść je ze szlachetną godnością, nie tracąc przytem nic ze swobody ruchów, siły męzkiej i twórczego

rozmachu? Czemu *istotni*[1]) twórcy stają się coraz to rzadszymi, im bardziej błogosławieństwa i skarby przeszłości stają się dobrem najszerszych i najświeższych kół ludzkości, najróżnorodniejszych natur człowieczych? Czemu właśnie *głębsze* wejrzenie w warunki życia działa przygnębiająco, jest wprost temu życiu wrogiem?" —

Czy właśnie wśród takich ludzi i w takiej atmosferze problem wartości dzisiejszej kultury i jej wskaźników na przyszłość nie musiał się narzucić z całą grozą? Czy właśnie takie czasy i ludzie nie będą szukały resztą instynktu oparcia o wielkie indywidualności, o geniuszów z czasów najbliższych? A gdy im pod stopy nie zechcą cofać czasu, czy nie stworzą same, poprostu napięciem swych duchowych potrzeb, ideału nadczłowieka, czekającego—już nawet nie na sformułowanie i imię (miał je nadczłowiek już dawniej!), lecz tylko na tchnienie weń życia i siły od geniusza?

Czy ta jego zawsze jednakowa, a dziś zewsząd tamowana wola wyżycia z siebie całkowitej pełni człowieczeństwa, najbardziej szczodrego ujawnienia wszystkich jej bogactw, prężności wszystkich sił człowieczych, nie musiała się przeistoczyć w tak napiętej atmosferze i wśród takich oczekiwań w wolę *twórczego wychowawcy?*..

A że ta wola zewsząd tamowaną była, wystarczy uprzytomnić sobie to tylko, że Nietzschego-Zaratustrę odepchnął od życia wstręt. Fale, co się rozbijały poniżej stóp Goethego, zalewały mu życie naokół. Zniknął nie-

---

[1]) Mowa tu o istotnej twórczości, wnikającej głębiej w życie i dusze, do właściwych ich sprężyn, do ideowych wartości tego życia. To, co się pospolicie „twórczością" zowie, t. j., fachowe, czysto formalne kombinacye starych myśli, uczuć i doznań, nie ma nic wspólnego z omawianemi tu sprawami. Nie świadczy to również o większej krzepkości stosunków i dusz, chyba tylko o większej prymitywności jednych i drugich.

tylko „patos odległości“ między ubóstwem sił duchowych i życiowych a świadomą ich pełnią i żądzą ich ujawnienia; nastała tyrania wszystkich wartości i mierników ideału i morału tego ubóstwa. Czy pogodne, ciekawe wejrzenie epika, to wejrzenie, co barwi rzeczy i ludzi, nie musiało się tu przeistoczyć w złe oczy analityka, co barwne płaszcze i maski z ludzi i rzeczy zdziera? — Czy tu zatamowana wola geniuszu nie musiała się przeistoczyć w wolę *psychologa i burzyciela morału?*..

I tak oto życia niedoznający pustelnik, w imię jego praw, walczy przecie na jakiejś wymarzonej, duchowej Cyterze swych wysp szczęśliwości, a w samotnem sercu pielęgnuje ostatnią tęsknotę wszystkich głębszych natur, ostatnią i najkrwawszą ułudę samotników: marzenie o przyjaciołach. Ci z życia bywają nieubłagani wobec samotników: jak owe złośliwe lisy w borsuczą jamę, będą znosili mu początkowo własne odbyty, a wykurzywszy go wstrętem z pracowitych jam kilku, poniechają go wreszcie. Ci z marzenia (bo przyjaciel samotnika ma dwa życia) nie stają się bynajmniej echem i wtórem jak u natur płytszych, lecz wróżdą, waśnią i kolcem. — „Jednego mam wokół siebie zawsze za wiele, myślał pustelnik. Zawsze tylko jeden razy jeden uczyni nareszcie dwa. Dla pustelnika przyjaciel jest zawsze trzecim: trzeci jest korkiem, niedopuszczającym, by rozmowa dwóch zapadła w głębię. Och, zbyt wiele głębin czeka na wszystkich pustelników. Dla tego też tęsknią do przyjaciela i do jego wyżyn“...

Dlatego też tęsknią nieraz do poniechanego życia i jego tanecznej lekkości. Osobliwie gdy światło na podwieczór złagodnieje i długie cienie gasnąć już poczynają. Wówczas ogarnia Zaratustrę taka żałość za poniechanemi barwami życia, że gdy błądzący samotnie natrafia w lesie na rozpląsany krąg dziewcząt, mędrzec piosnkę do tańca śpiewać im pragnie. Lecz, czy że niepoprawny Zaratu-

stra tym stworom pustoty wiosennej omamy życia burzyć zamierzał, tym tęczowym kaprysom chwili pieśń o człowieczej przyszłości do tańca nawet śpiewać pragnął, lub czy że zmierzch był już zapóźniony, — rozpierzchły się dziewczęta: — w oczach nielitościwego analityka i zamyśleńca nad wiecznością gasną nieubłagalnie epickie barwy życia, milknie tego piękna „święty śmiech i drżenie.“

Zbliża się wieczór, chłód przejmujący zawiewa ze szczytów. Pierzchli przyjaciele, rozpierzchły się taneczne kręgi życia, po raz wtóry zgasły jego barwy; pozostała już tylko natura w grozie milczenia i samotności... „Coś nieznanego jest wokół mnie i spoziera w zadumie. Jakto? Więc ty żyjesz jeszcze, Zaratustro? Dlaczego?.. Po co?.. Dokąd?.. Gdzie?.. Jak?.. Czy to nie szaleństwo żyć jeszcze?..“

Czy te p o d w ó j n e pogrzeby życia: raz w wyrzeczeniu się, po raz wtóry w marzeniu, nie uczynią z najchłodniejszego nawet myśliciela — poety, poety dziwnego, w którego oczach gasną epickie barwy życia, rozwiewają się wszystkie jego ułudy, a żyje już tylko natura w grozie niemego pytajnika wieczności, oraz własna dusza na mroźnych wyżynach nadczłowieczych... „Och, lód naokół mnie, dłoń moją lodowate parzą dotknięcia! Och, pragnienie mi dolega, a łaknie ono waszego pragnienia!— Nastała noc: och, że też światłem ja być muszę! I pragnieniem pragnień ponocnych! I samotnością!.. Nastała noc: zagadały głośniej wszystkie źródła bijące. I dusza moja jest źródłem bijącem. Nastała noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochanków. I dusza moja jest pieśnią rozkochanego“...

Czy to zwaśnienie się najżywotniejszych mocy w człowieku aż do paradoksu życia, paradoksu marzenia, paradoksu mądrości, co ciemnym ich ponocnych pragnień zazdrości, nie jest najboleśniejszą rozterką dzisiejszych głębszych dusz?

Czy tak zatamowana wola geniuszu nie musiała się przeistoczyć prężnością sił twórczych w wolę *poety nowego życia i twórcy nowych dla niego ideałów?!..*

I tutaj, tu wreszcie podają sobie dłoń wychowawca, psycholog i poeta. Czynią to dla pogromu wszystkich wrogich potęg dzisiejszej duszy, wszystkich upiorów rozterki, chwiejności i zwątpienia w nadmiarze, dla tryumfu woli nad bogactwem dzisiejszego ducha, które groziło, że stanie mu się klęską. A do zwycięztwa wiedzie ten, kto w sferze uczuć i woli przedewszystkiem zwycięża: wiedzie poeta... „Za długo tęskniłem i wyzierałem w dal, za długo władała mną samotność: i tak oto oduczyłem się milczenia. Ustami jam się stał wskroś, wzburzonym na graniach stałem się strumieniem... I niechże mi ten potok miłości na bezdroża nawet runie: jakżeby nie miał potok drogi ku morzu wreszcie odnaleźć!.. Nowemi drogi idę, nowa nawiedza mnie mowa; jako wszystkich twórców stare znużyły mnie języki. Zbyt wolno wlecze mi się wszelka mowa:—w twój wóz skaczę nawałnico! I ciebie jeszcze chłostać będę a naglić mą złośliwością! — Jako krzyk i zawołanie radosne popłynę po toni mórz dalekich, hen ku wyspom szczęśliwości, gdzie przyjacioły me bawią!.. — Zaprawdę jako burza nadciąga me szczęście i wolność moja! Niechże myślą wrogowie, że to zły szaleje nad ich głowami“...

I tak oto z pustelni samotnika, z jaskini anachorety rozległ się nowego piękna święty śmiech, nowej mądrości głos: wytrysnął porywający nurt życia, co, w obronie życiowych wartości, w imię ich najwyższych mocy, przemocy i prawa, żłobi sobie najgłębsze koryto w najtwardszych graniach wierzeń, wiar i przesądów, w opokach dobra, cnoty, altruizmu, litości i prawdy. Wszystkie na mieliznach osiadłe łodzie wyniesione zostają na te szerokie morza dowolności, które jedynie łodzi doświadczyć są

w stanie, aby tylko sterem woli i żaglem instynktu najdzielniejsze skierować do lądu człowieczej przyszłości; do tego lądu, w którego wstecznej, ku dziś zwróconej perspektywie dobrem i najlepszem jest bezwzględnie wszystko, co żywe, twórcze, siewne, a złem i najgorszem wszystko mdłe, krótkie, sobą zakończone, wszystko, co skarla, wyjaławia i tłumi siłą pospolitego ideału i jeszcze pospolitszego morału.

A zwie się ta książka: „*Tako rzecze Zaratustra.*"

Wacław Berent.

Dok. nast.

EX-LIBRIS, akwaforta FR. SIEDLECKIEGO.



Przewoźnik.

Ująwszy wiosła dłońmi obiema
I płynąc długo na przełaj fali,
Przewoźnik w zębach sitowie trzyma.
Lecz ta, co wzywa z za fal go mety,
Co hen w dalekość, za szumne wały,
Wzywa wciąż dalej, — ciągle, niestety,
Cofa się, cofa we mgle zgęstniałej.
Tarcza zegaru spogląda z wieży
I oczy duże okien z wybrzeży
Patrzą na jego zapał i znoje,
Kiedy sprężając muskułów zwoje,
Tułów przeginał we dwoje.
Znienacka pęka mu wiosło —
I wnet się z prądem poniosło,
Skróś wały ciężkie, do morza..
A ta, co woła go w one dale,
We mgły i wichry, — zda się, szalona.

Wypręża wściekłej coraz ramiona
Ku temu, co się nie zbliża wcale.
Przewoźnik chwyta wiosło jedyne,
Zdwojoną siłą orze głębinę,
Aż mu z wysiłku pękało ciało,
Aż serce grozą i żądzą drgało.
Znów nagłe fal uderzenie
Zmiażdżyło ster mu i żenie
Te druzgi ciemne do morza.
Widzą samotne wieże — te wdowy,
Które, o milę jedna od drugiej,
Stoją przy rzekach sztywnie na warcie; —
I, nito z oczu, lśnił gorączkowy
Wzrok wielkich okien, śledząc czas długi
Szaleńca, który walcząc uparcie,
Przedłuża sobie mękę żeglugi.
Istota, co go wzywa na morze,
W tumany mroku, — ryczy i wyje,
Przerażająco sprężając szyję
Ku nieznanemu w mglistym przestworze.
Przewoźnik, stojąc jak posąg żywy,
Otoczon wokół burzy nawalą,
Wiosłem jedynem chłoszcze fal grzywy,
Wgryza się w wały—choćby, co chce, się stać miało.
Wzrok jego stary, otumaniony,
Widzi w światłości całe te strony,
Zkąd głos dobiega, zawsze z oddali,
I wciąż pod niebem chłodnem się żali.
Ostatnie pękło mu wiosło —
I wnet się z prądem poniosło,
Jako źdźbło nikłe, do morza...
Wtedy spochmurniał, przypadł do ławy;
Krzyże mu zerwał trud czczy a krwawy,
Zwisłe ramiona rozmach odbiega...

Lecz gdy prąd zepchnął lódź na bezdroże,
Spojrzał za siebie — — złuda-ż to może?
Toć on kołował ciągle u brzega...
A okna duże i wież zegary
Oczy swe szczerzą i widzą jasno,
Że w nim już iskry zapału gasną...
Ale zacięty przewoźnik stary
Wciąż trzyma jednak — Bóg jeden to wie,
Na jakie jutro? — zielone w zębach sitowie.

Z cyklu: „LES VILLAGES ILLUSOIRES"
PRZEŁOŻYŁA El-ka. Emil Verhaeren.

Fenomen przyszłości.

Niebo blade, nad światem dogorywającym ze zgrzybiałości, gotowe rozwiać się razem z obłokami: szmaty zużytej purpury zachodów blakną w rzece śpiącej na widnokręgu zalanym promieniami i wodą. Drzewa nudzą się, a pod ich listowiem zbielałem (od pyłu czasów raczej niźli dróg) wznosi się płócienny dom Pokazywacza rzeczy Minionych: tu i ówdzie latarnia oczekuje zmierzchu i ożywia oblicza nieszczęsnej tłuszczy, zmożonej przez chorobę nieśmiertelną oraz grzech wieków, oblicza mężów i wątłych ich towarzyszek, brzemiennych nędznemi płody, z któremi zaginie ziemia. W niespokojnem wszystkich milczeniu, gdy oczy błagająco zwracają się w oddal ku słońcu, zapadającemu już pod wodę z rozpaczą krzyku, oto prosta perora szarlatańska: „Żaden szyld nie uracza was widowiskiem wewnętrznem, bo niemasz dziś malarza, który zdolen byłby dać chociażby

smutny cień jego. Przynoszę wam, żywą (a zachowaną przez ciąg lat mocą wiedzy najwyższej), Kobietę z czasów pradawnych. Jakieś szaleństwo, pierwotne i naiwne, jakaś ekstaza złota, czy ja wiem? zwana przez nią swemi włosami, faluje z wdziękiem drogich tkanin wokół oblicza rozświeconego krwawą nagością jej warg. Miasto daremnego odzienia ma ona postać swoją, a oczy, acz rzadkim podobne kamieniom! nie warte są spojrzenia, które bije z radosnego jej ciała: od piersi wezbranych i jak gdyby pełnych mleka wiekuistego, z wierzchołkami wzniesionemi ku niebu, do nóg polerownych i niosących na sobie sól pierwomorza.“ Wspominając biedne małżonki swe, bezwłose, chorobliwe i wstrętne, mężowie cisną się; one również, przez ciekawość, smętne, chcą widzieć.

Gdy wszyscy napatrzą się szlachetnemu stworzeniu, śladowi jakiejś dawno przeklętej epoki, jedni z obojętnością, bo nie mają siły zrozumieć, drudzy z rozdartem sercem i łzami rezygnacyi pod wilgotną powieką, spojrzą na siebie; podczas gdy poeci owych czasów, czując, jak rozpalają się im oczy przygasłe, podążą każdy do swej lampy, z mózgiem na chwilę pijanym jakąś chwałą niewyraźną, nawiedzani przez Rytm i niepomni istnienia swego w epoce, która przeżyła piękno.

PRZEŁOŻYŁ Z. P. Stefan Mallarmé.



EX-LIBRIS, autolitografia trójbarwna T. RYCHTERA.

BAJKA O RYBAKU I RYBACZCE.

Był raz sobie rybak młody, z sercem prostaczka.
Niewód, łódka — ot i wszystek skarb nieboraczka.
Była też, jak zwykle bywa, — była rybaczka.

Ona serca łowiła, on — ryby niewodem.
Kochał, jak to zwykle bywa, — szał w życiu młodem.
Jak Syrenę ją pokochał, na swoją szkodę.

Poszedł do niej, gdy mu było nad wytrzymanie.
Złożył ręce, jak w pacierzu, kląkł na kolanie:
— Cóż ja ci mam dać — powiada — za twe kochanie? —

Rzekła: — Chcesz-li, abym tobie powolną była,
Daj mi rzecz, nad kwiat barwniejszą, i żeby żyła. —
Ach, rybaczek dusza dziwna jest i zawiła!

Co tu robić? Ha, co robić?.. Prostaczek wstał ów,
Poszedł — niewód, łódź narządził, i jechał na łów.
Naprzywoził z dalekiego morza ukwiałów.

Jedne były pozłociste, z zielonym wąsem,
Inne lśniły róż czerwienią i krwawym ponsem...
Wiózł je w wodzie, by nie zdechły. — Weź — rzekł z prze-
[kąsem.

Brała, ale skoro darzyć chce go pieszczotą,
Zaraz taki ukwiał blednie i traci złoto.
— E, do licha — rzekła wreszcie — z taką robotą!

Innej teraz żądam rzeczy. Takiejbym chciała,
Żeby dłużej, dłużej mogła żyć od ukwiała,
I żeby mi, wedle woli, zawsze coś grała. —

Z ócz rybaka zdrój łez trysnął, wielkich łez-ziarek.
Co tu robić? — myśli biedny... Narznął fujarek,
Wiezie, wiezie, aż i przywiózł — nowy podarek.

Jedne grały mu fujarki, jak ptaki z rana,
Z innych brał, jak flet, przelewne, cudne soprana.
— Masz tu — mówi — przyłóż usta, graj, ukochana. —

Brała jedną — zła, zła druga, choć dmie w nią chciwie.
Grają wszystkie, wszystkie grają, ale fałszywie.
— Tobie — mówi — gra, mnie piszczy. Bardzo się dziwię.

Przynieś inną mi rzecz, żeby lśniła przezrocznie
I żeby mi sama grała — przynieś niezwłocznie. —
Co on pocznie? — myśli rybak: — co on tu pocznie?

Siadł na łódkę znów i przywiózł dla swej Syreny
Muszli, muszel i muszelek niezmiernej ceny,
Migocących stu barwami tęcz, jak barweny.

— Każdziuteńka coś ci szumi szumem czeluści,
I jest mocna: nie umiera, choć się ją puści,
I od kwiatów kolorowsza. Dość chyba już ci? —

Przykładała konchy muszel do konchy uszka:
— Szumieć, szumi, jakby w środku siedziała muszka...
I nic więcej? — Któż rybaczek zbadał serduszka?

— Nie chcę twoich — rzekła — muszli, choć tak mieniące,
Ani twoich chcę piszczałek, choć śpiewające. —
— Więc cóż dać ci mam w ostatku? — Samo daj słońce!

Jeśli żądasz już koniecznie, bym się kochali,
Daj mi słońce, które samo stem tęcz się pali,
Daj mi, zamiast muszli szumu, szum samej fali. —

Jęknął rybak i zawołał w wielkiej rozpaczy:
— Żal się, Boże, mojej doli, doli rybaczej! —
Ach, rybaczek nieraz dusza dziwnie dziwaczy!

Sam się rybak, sam pozostał. Gryzł się i smucił.
Zebrał wszystkie swe muszelki, w morze je wrzucił,
Siadł, pojechał w dal ku słońcu... I już nie wrócił.

Oto bajka jest o sercu tak kochającem,
I rybaczce, która chciała samem żyć słońcem.
Koniec sobie już dośpiewaj sam, koniec końcem.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

„Pogrom“ sztuki. Prasa nasza, tak dziś obfita w wieloznaczne publicystyczne łamigłówki, wyłoniła ostatnio ze swej mgławicy osobliwie szpetne monstrum: zbiorową napaść na sztukę.

Nienawiść dla sztuki jest u nas co prawda chroniczną; należy do penatów utrzymywanych po zaułkach żarłocznej albo bezsilnej ambicyi. Jest to zjawisko zrozumiałe w społeczeństwie, którego Luci-ferem jest Sztuka. Nigdy jednak szkarada tego uczucia nie wystąpiła bezczelniej. I to również wytłómaczyć łatwo: elektryczna atmosfera chwili sprzyja wszelkim egzaltacyom — ducha jak instynktu, rozżarza zapały i chucie, otwiera perspektywy marzeniom Chrystusa i Kaina. Wielka sprawa, jak kropla bodaj najczystszej wody, roi się od zaciętych walk między drobnoustrojami osobniczemi i społecznemi. Dobro i Zło, odwieczni szermierze, rozpoczęły nową „seryę“ tytanicznych zapasów, mnożą swe przyłbice, i podstępami wojennej mimicry wytwarzają zamęt w pojęciach, wprawiają w niepewność, między kim i o co bój się toczy, i czy, podobnie jak w niedawnej wojnie Mandżurskiej, przeciwnikom nieraz się nie zdarza uledz fatalnym, samobójczym pomyłkom... mundurowym.

Tę myśl ostatnią nasuwa zwłaszcza *solidarny* charakter napaści na sztukę. Zgodność dziwna w atmosferze ogólnej wzajemnej *negacyi,* w której oparach jawią się zbyt często stare upiory prywaty i pieniactwa. Były chwile ogólnego rozstroju i zamętu, w których przybierała ona haniebne pozory powszechnego spychania zarzutu odpowiedzialności za niezwykły bieg zdarzeń na kozła ofiar-

nego; jedni czynili to w delirium niszczycielskiego purytanizmu demagogicznego; inni nie mieli na swe usprawiedliwienie nawet formułki, robili to jakby drogą targu, najmniejszej szkody, oszczędnego kompromisu ze społecznym szantażem, odwracając hordy „karzące“ od domów rozpusty do... laboratoryów twórczych, muzeów...

Gdy zaś burza ścichła, impuls tak podwójnie dany jął się rozchodzić dalej, spokojniejszemi, lecz niestety i szerszemi kręgami. Nawet ogniska kultury objęła pewna, tymczasowa jakoby, wzgarda dla sztuki, streszczona w źle zbudowanem haśle: „Precz ze sztuką — miejsce życiu.“ Zkądinąd zaś, przysięgli i pokątni *anti-esteci*, w świeżej pamięci mając niesłychane tryumfy twórczego trudu nad grafomańską blagą, uprawiają dalej swą nędzną specyalność trafiania piłkami z kłaków w cierpliwy manekin „dekadenta.“ Ostatnią nowością w tej ubogiej szopce jest świeżo kreowana kukła dekadentki-Mesaliny.

Tym wszystkim obliczom i maskom „pogromu“ przypatrzmy się bliżej.

* * *

Slowo naprzód o „dekadentach“ i „dekadentkach.“

Przez prostą sprawiedliwość uwolnijmy tę bądź co bądź uwagi godną gromadkę od tendencyjnie jej narzuconego a krzywdzącego koleżeństwa pornografów płci obojga, których proceder do sztuki nie należy, a którzy zresztą sposobem i smakiem — czyli bezsmakiem — podchodzą pod dawniejsze pokolenie, noszą liberyę realizmu — —

Zostaje się długowłose, pochyłokrzyże, tęsknookie i szyderczouste plemię „*beanów*“ i żaków sztuki... żyjące kawą i dymem papierosów (porterem z naftą wedle p. Choińskiego), gorączkujące z powodu byle pokusy, pokrywające bezbrzeżną niedolę głodów, nostalgii i nędz życiowych złotogłowiem marzeń i naiwną pychą hyperboli; bezobronne i okrutnie doświadczane pasierby Muzy, wydane na łup wszystkim społecznym magnetyzmom sprytu, arogancyi przepychu, radości życia, zepsucia, gróz bytu i duchowej tyranii...

Te „duchy letargiczne,“ te przez sen jęczące igraszki losu — mistrzami rozpusty? inicyatorami nierządu? O, ironio!

Mistyfikacya to chyba, mająca złośliwie schlebiać ich dziecinnej pozie bajronicznej, lub może napędzić gęsiej skórki tym „indywidualistom“ przed terorem społecznej potęgi?

Zaiste! ci rzekomi wirtuozi zepsucia wyglądają raczej na jego

ofiary... Tylko warunki *ogólnego* rachityzmu zdolne są wyprodudukować takie muzealne bogactwo spaczeń, złudzeń, póz, manij i zacieśnień. Na *społeczeństwa* kulturalnych pustyniach dziczeją i w złej hodowli narowią się ich dusze; na sabatach *społeczeństwa* znieprawiają się ich wyobraźnie; od fatalnych suggestyj *środowisk* wężeją im piersi i wzrok od ciemnic *in-pace*'ów odbity staje się krótkim i słabym.

Nie przyczyną złego są — lecz jego zdobyczami; nie grzesznikami — lecz dziećmi, „kwiatami grzechu"...

*

Idziemy dalej.

„Precz ze sztuką — miejsce Życiu!" — oto hasło popularne.

Nie zatrzymamy się dłużej nad trafną zresztą uwagą: z jakiego to i kiedy entuzyazmu dla sztuki mamy dziś ostygać?

[Boć nie nazwiemy nim przecie sieczki sprawozdań i reklam teatralnych i powieściowych, któremi przed niedawnym jeszcze czasem zapełniały swe szpalty dzisiejsze „z życiem idące" pisma.]

Spytamy tylko, czy prawowitem jest podobne przeciwstawienie i jaką jest zawartość tego terminu: Życie.

Przecie nawet — i przedewszystkiem — z materyalistycznego punktu widzenia jest ono zespołem wszystkich energij. Im więcej tonów, tem akord bogatszy.

Czyżbyśmy więc byli kalekim, wąskogłowym ludem monomanów, z równowagą władz nie w przestrzeni, lecz jedynie w czasie, z procesem psychicznym zredukowanym do kolejnych „idees fixes," i ośrodkami mózgowemi usypianemi po kolei przez Ducha Dziejów?

Nie jestże ta zbiorowa dusza raczej panteonem twórczych mocy, — wielkim, w różnorodności swej spoistym, promieniście wzrastającym obozem Pracy? A tego obozu sztabem generalnym, namiotem hetmańskim jest wielka, syntetyczna Sztuka.

„Miejsce Życiu!" znaczyć powinno w naszych ustach: niech żyją i kwitną wszystkie władze duszy ludzkiej—a zwłaszcza te najlepsze, najwyższe, różniące człowieka od zwierzęcia; niechaj wszystkie jej moce na światło się wynurzą i wszystkie potrzeby znajdą zadośćuczynienie.

Nawet pod najstraszliwszym ogniem bitew krząta się wiecznie czujna, niezmordowana troska o zasadnicze podstawy bytu walczących. Żołnierz musi mieć chleb, wodę, sen i... papierosa. Inaczej ginie lub szaleje.

Na wielkiej wojnie duchów zwanej życiem społecznem, bojownik każdy winien być opatrzonym we wszystkich swych potrzebach, a zwłasza w zasadniczych, dla tej walki podstawowych, t. j., ideowych. Inaczej płodna walka wynaturza się w mord bezmyślny.

W walkach społecznych, jak na wojnie, każdy u swojej reduty walczyć musi. Wszelkie entuzyastyczne zlatywania się ze stanowisk są psuciem rozumnego ładu, lekkomyślną dezercyą, nieprzebaczalnem gapiostwem lub stchórzeniem przed siłą odurzonej opinii publicznej.

„Życie" w naszych ustach nie powinno oznaczać chaosu, solidarności owczego pędu, zamętu w hierarchicznej harmonii zadań człowieczych.

A któż goręcej i godniej wygląda bogatego ładu, proporcyjności społecznej od Sztuki?

Nie ona, mistrzyni Harmonii, żywi ciasne i zabójcze ambicye zmonopolizowania sił społecznych, naruszania ich równowagi dla celów z konieczności nie trzymających miary, żądanego wysiłku poprostu niegodnych.

Nie ona, budzicielka wszelkich uśpień, hodowczyni wszelkich indywidualności, wskazicielka powołań i pól działania.

Ale czynił to zawsze jej wróg odwieczny, czynił *przeciwko niej* stuskrętny ciemięzca człowieka, smok fanatycznych Egoizmów i Kainowych zawiści — — —

. . . .

I gdyby nawet (wedle hypotezy nienowej) Duch Rozwoju, jak słońce, miał swój *zodyak* i chwałą swoją znak po znaku rozpromienial, zostawiając je potem kolejno w zmierzchu — aż do przyszłego obrotu —

toć i wtedy zgodzićby się trzeba na tę oczywistą prawdę, że *Geniusz naszego plemienia wciąż mieszka w „domu" Sztuki,* i że gdyby nawet z biegiem czasu go opuścil, to w tym *domu słońca* praca ustaćby nie mogla, ni powinna, że ta praca mogłaby tylko — — — przycichnąć.

*

Na pociski z okopów materyalizmu społecznego odpowiemy przypomnieniem kilku odwiecznych prawd—idealnych, a mianowicie:

Że Sztuka w *pierwszym* swym momencie, najniedostępniejszym, ezoterycznym, na wysokościach, jest WYROCZNIĄ, jutrznią dnia nowego, wyprzedzającą Syntezą, nieustannie święcącem się

przechodzeniem ducha w materyę, przemienieniem intuicyjnych przeczuć w wieszcze słowo twórców.

Że w momencie *drugim,* na padołach, słowo staje się ciałem, sztuka FERMENTEM psychicznym, nurtującym jednostki ku *społecznej realizacyi,* działającym w nich wedle dróg indywidualnych reakcyj, oraz OTOCZĄ wyobraźniową następujących po sobie pokoleń, magicznym kręgiem przepotężnych zbiorowych suggestyj.

Że w momencie *trzecim* (bardziej specyalnie) jest ona dla przyszłych swych adeptów domowem ogniskiem i rodzinnym dachem tradycyj, szkołą dla umysłów i zdolności, polem uświadamiających mozołów i eksperymentów. Ten to PROCES PRZYGOTOWAWCZY (coś jak Wilhelmów Meistrów „*Lehrjahre*") obfituje w zjawiska „kierunków" mniej więcej „ekscentrycznych," w niezgrabności, dziwactwa i zuchwalstwa, które dla klasycznego piękna dojrzałych tworzeń są tem, czem *junactwo* dla wytrawnej *cnoty* obywatelskiej, i na które *zdrowy, uświadomiony ogół* zapatrywać się winien mniej więcej tak, jak np. na wystawę uczniów szkoły sztuk pięknych, t. j., jako na specyalne, fachowe, a niezmiernie ważne i konieczne studya terminatorskie...

Takiem jest społeczne znaczenie Sztuki, jej rola idealnego równoważnika materyalnych impulsów w rozwoju gromady. Obfitych dowodów dostarcza naszemu twierdzeniu chwila dzisiejsza, zawdzięczająca zintensywnienie energii ogółu przepotężnemu fermentowi estetycznemu.

Ta to boska Kusicielka, tysiącem barw i ponęt swego zaczarowanego ogrodu, który otwarła zagłodzonej rzeszy, ocknęła w niej zmysły (nie *płeć,* zastrzegamy się przed tym trywialnym synonimem), rozkołysała marzenia, zaostrzyła żądze; „ta to mądra Mistrzyni podała bezbłędne zwierciadło jej szpetnej osobniczej i społecznej nędzy, i z tych przeciwstawień piękności a upadku dobyła uświadomienie praw oraz twórczy niepokój inteligencyi zarodczej.

I trzebaż właśnie, by lud, z gnuśnej drzemki odwiecznej budzony gęślą pieśniarzy, pierwszym swym na jawie ruchem przeciwstawiał się ojcom-Orfeuszom i miast hołdu wdzięczności i czci — znieważał swe bóstwo opiekuńcze — Sztukę.

Smutne to zjawisko jest jednak w gruncie — jak wszystkie smutki — złudzeniem.

Antynomia sztuki z rozwojem społecznym, Geniuszu z Gromadą, jest jednym z tych intryganckich fałszów, z tych machiaveli-

zmów Historyi, które wskutek nieprzemożonej bierności mas odwiecznie bronią do nich przystępu impulsom postępowym, a któremi z tak szatańską zręcznością włada klasyczny ród FAKTORÓW. On to między twórcą (wytwórcą) i ludem (odbiorcą) rozsnuwa miraże nienawiści... Pamiętajmy, że za Chrystusem szły wielbiące rzesze, a ukrzyżowały go dopiero za wdaniem się Faryzeuszów...

Faktorzy! pośrednicy, krytycy, popularyzatorowie (przeinaczający myśl dzieła) — i benjaminki ich: niedorodkowie, półmędrcy, niewolnicy, wypędki... oto biesi świat sił przekornych, oto prawdziwy *tłum* nienawistny artystom, tępiący komunię twórców *z ludem*, który ich wydał i gotów jest zrozumieć i przyswoić, mimo wszelkie ochronne systemy zręcznie przez opiekunów stosowane...

Potrzebę tej komunii, przebicia się przez ciżbę faktorów zawalających przejścia, aż przed wielotysięczne ludowe amfiteatry, odczuwa każdy rasowy twórca, pożąda jako najwyższej sankcyi i tryumfu „doczesnego." Pragnienie to znalazło udzielny i czynny wyraz w belgijskim ruchu *udostępnienia wielkiej*, *nieadaptowanej, niepopularyzowanej, czystej sztuki warstwom najszerszym.* Wzniosłe helleńskie tradycye zdają się i u nas budzić echa; w światłości dnia kształtują się olbrzymie wizye heroicznej sztuki w społeczeństwie-arcydziele. „Domy ludowe," igrzyska atletyczne, termy, hodowle ludzi na wielką skalę, muzea — cała nowa czy odnowiona tylko gigantyczna struktura spółżycia buduje się coraz wyraźniej w wyobraźni tłumnych zastępów twórczych i wykonawczych. Robotami kieruje wielki Architekt-Geniusz rasy budzącej się do życia. Bliska jest chwila, w której realizacya będzie niezmożoną koniecznością dojrzałej Idei. A wówczas, o faryzeusze, w gulfstreamie woli powszechnej zatoną same przez się misterne intrygi i bezsilne już wtedy przesądy i iluzye...

Tredecim.

NOWE POLSKIE EX-LIBRIS'Y ARTYSTYCZNE.

Wszystko dokoła nas winno być piękne, każdy szczegół, każdy drobiazg (książka, stołek, dom, szklanka, kostyum) winien odznaczać się wyrazistością linij, szlachetnością barw, oryginalnością pomysłu. Żyjąc w pięknie, człowiek sam piękniejszym, wyrazistszym i szlachetniejszym się staje, podczas, gdy otoczenie trywialnych szablonów fabrycznych i wielkohandlowych czyni go niewątpliwie, szybko czy zwolna, trywialnym, szablonowym i bezwrażliwym. Oto źródło, oto zasada, oto wielkie znaczenie t. zw. sztuki stosowanej. Dla te-

go, w dzisiejszej powodzi brzydot i banalności, żaden wysiłek jej nie jest bez wagi — i popierać go i wskazywać należy niezwłocznie. Dla tego, jak kiedyś podnosiliśmy lwowskie próby nadania charakteru artystycznego tej prawdziwej zmorze dzisiejszych czasów, jaką są fabryczne karty pocztowe, — tak dzisiaj zwrócić chcemy uwagę na pierwsze brzaski odrodzin — lub raczej, rzecby należało, narodzin — artystycznego *ex-libris*'u polskiego, które może zdołają uwstrętnić ludziom ohydne, znieprawiające książkę, a tak dzisiaj zwykłe w użyciu, fiołkowe odbicia stempli kauczukowych.

W istotnie artystyczne ex-libris'y byliśmy, pomimo kilku epok kultu dla pięknych książek, który z natury rzeczy wywołuje równoległe mnożenie się tych „znaków własności," — nader ubodzy. Dość przejrzeć monografię p. Wittiga, aby przekonać się, że w czasie, gdy na zachodzie A. Dürer, Sebald Beham, L. Cranach, A. Wierix i inni tworzyli wspaniałe, po dziś do najpiękniejszych zaliczające się ex-libris'y drzeworytowe, u nas — (a był to przecież złoty wiek drukarstwa i epoka wysoce artystycznych opraw książkowych!) — ograniczano się do niedołężnie, bez żadnego rozmachu twórczego, bez żadnego wysiłku ku bogactwu i sile linii, przerysowywanych znaków herbowych, albo też do prostych drukowanych napisów: „z księgozbioru takiego i takiego," w ciągłej lub kropkowanej, pojedynczej lub podwójnej obwódce. Wiek XVII nawet z obczyzny nic nam nie mógł przynieść, bo i tam była to doba wyraźnego w tej dziedzinie upadku, a XVIII, którego koniec nowym drukarstwa polskiego zaznaczył się rozkwitem, nie zdołał również podnieść poziomu tych znaków bibliotecznych. Nawet ex-libris wytwornego bibliopoli Grölla jest raczej drukarsko skonstruowaną, nikłą dosyć stampilią. W całem dziełku p. Wittiga trzy tylko znaki zwracają uwagę: wielkie i nieco ciężkie, ale z najlepszemi jednak europejskiemi w zawody iść mogące, portretowe ex-libris Tomasza Czapskiego (przez obcego zresztą artystę wykonane); po ośmnastowiecznemu symboliczna, ale wdzięczna w rysunku etykieta na własne książki D. Chodowieckiego; wreszcie, ciekawy znaczek drzeworytowy biblioteki szkolnej przy kaplicy Św. Barbary w Gdańsku. Reszta może mieć wagę dokumentarną dla historyi krajowych bibliotek prywatnych i publicznych, oraz wartość dla zajadłych zbieraczy, zasadzających ambicye swe raczej na ilości niż na jakości. Pod względem artystycznym wszakże są to okazy bez znaczenia.

Powodów tego ubóstwa szukać należy, przedewszystkiem, w braku szerokich, zatrącających o wszystkie gałęzie sztuki artystów; powtóre, w przeważającej skłonności właścicieli bibliotek do

znaków czysto heraldycznych i w zadowalaniu się ich szablonem bylejakim; wreszcie, w konkurencyi, jaką robiły ex-libris'om uherbowane czy nazwiskiem właściciela oznaczone oprawy. Powody te przeszły, w różnej mierze, i na pierwsze trzy ćwierci wieku XIX-go, a dołączył się do nich zupełny upadek drukarstwa, zdobnictwa książkowego i bibliofilstwa równie ze strony wydawców jak publiczności. Ztąd nic pierwszorzędnego i w tej jeszcze epoce nie mamy do zanotowania w dziedzinie ex-libris'ów, a rzeczy jako tako interesujących nader niewiele. Dopiero w ostatniem ćwierćwieczu warunki zwolna lepiej układać się jęły. Olśniewająco rozwinęła się odsądzana jeszcze w połowie wieku od prawa do istnienia sztuka polska. Coraz nowe generacye, coraz liczniejsze zastępy artystów szukać zaczęły dróg nowych, własnych, i z natury rzeczy najrozmaitszemi sztuk plastycznych interesować się dziedzinami. Minęło wyłączne przez czas długi „olejnictwo;" rysunek odzyskał swe prawa; odradzać się jęły mające niepoślednią u nas przeszłość, ale od lat kilkudziesięciu zapomniane sztuki graficzne; do walki z historyjkową „ilustracyą" zbudziła się dekoracya artystyczna; t. zw. sztuka stosowana, coraz szersze ogarniając zakresy, dźwignęła wreszcie i drukarstwo z długotrwałej banalności i zdawkowości. Książka przestała być mizerną szmatą, osłaniającą bylejak wnętrze treściowe, zaczęto i od niej wymagać odpowiedniego piękna — i, wbrew wrzawie krótkowzrocznych utylitarystów, wykrzykujących, iż dyament myśli nie potrzebuje Cellini'owskich opraw, gdyż i w kupie nawozu nie przestaje być dyamentem,—jęli, równie śród wydawców jak śród odbiorców, pojawiać się coraz liczniejsi miłośnicy książki-dzieła sztuki. W książce takiej i sam „znak własności," choćby nawet czysto heraldyczny (na co, zresztą, moda, zda się, minęła), nie może być utylitarną banalnością, ani przykro rozrywać całości artystycznej. Ztąd—wyraźny jego rodzaj, oraz jedyne dlań miejsce. Ponieważ „znak własności" jest rzeczą stałą dla całej, mniejszej lub większej, rozmaitości książek, przeto nie powinna to być ani sygnatura czy stampilia odbijana na karcie tytułowej, gdzie mogłaby częstokroć sprzeczać się z drukarskim tej ostatniej stylem, ani znak herbowy czy inny na oprawie introligatorskiej, od której smak dzisiejszy wymaga również pewnej indywidualizacyi w sensie zbieżności stylowej z treścią książki,—lecz odpowiednia etykieta artystyczna, przyklejana na względnie najobojętniejszem w książce i jak gdyby żądnem szlachetnego urozmaicenia miejscu, jakiem jest wewnętrzna strona oprawy. To właśnie zwie się ex-libris'em artystycznym — i nie dziw, iż, w miarę wspomnianego rozwoju bibliofilstwa, potrzeba ta-

kich etykiet objawić się w ostatnich czasach musiała. Niestety, dla braku bliższego spółżycia między artystami, literatami i kolekcyonerami, nie objawiła się impulsywnie, naturalnie, jakby ze zbiegu żywej, samorzutnej chęci artysty z pragnieniem posiadacza książek, lecz przybrała odrazu zwykłą u nas postać konkursów. O wadliwościach tej w sprawach artystycznych zasadniczo chybionej metody pisaliśmy niejednokrotnie. Zamanifestowały się one i w danym razie z całą okazałością. Nowość zadania zdołała wprawdzie zainteresować rzetelnych, doskonałych artystów, zazwyczaj w takich „wyścigach o nagrodę“ udziału nie biorących—i skutkiem tego śród nielicznych prac wyróżnionych znalazły się, wbrew smutnym tradycyom poprawnej mierności, rzeczy istotnie i niekiedy nawet zadziwiająco piękne. Nie obyło się atoli, przynajmniej w jednym z dwu konkursów, bez skandalicznej, niczem niewytłómaczalnej „pomyłki“ grona sędziowskiego, niweczącej— i to gorzej, nieodwołalniej, niż w jakiejbądź innej dziedzinie [1]) — ten wyjątkowy, niespodziewany szczęśliwego trafu rezultat. Normalnym zaś trybem wezbrała powódź niedołęstw, zdawkowości, naśladownictw bezmyślnych, niedbałych „chlapnięć“ pod godłem „kupić nie kupić, potargować można“ – i wszelakiej nieuniknionej plewy grafomańskiej.

Konkurs pierwszy, inauguracyjny, ogłoszony w Krakowie przed kilku laty, za pośrednictwem towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana,“ na „znak własności“ dla Muzeum Narodowego,—do najbardziej udanych i jednocześnie najbardziej chybionych zaliczyć trzeba. Do najbardziej udanych—bo między 65-ma nadesłanemi projektami przyniósł jedno prawdziwe arcydzieło ex-libris'owe; do najbardziej chybionych— bo wyrok sędziów, w sposób poprostu niepojęty, zdołał nas tego arcydzieła pozbawić. Mówimy o kapitalnej, wielkostylowej kompozycyi Józefa Mehoffera: *Vita somnium breve* [2]), która — pod względem głębokości i wyrazistości koncepcyi, ogromnej, spokojnej harmonii w układzie, subtelnie stopniowanej ekspresyi w postaciach, szerokiej, szlachetnej dekoracyjności w traktowaniu, mistrzowskiej wresz-

[1]) Niedoceniony przez sędziów poemat, powieść, dramat, obraz—może potem, w książce, na scenie czy na wystawie, wywalczyć sobie z powrotem należne prawa — i nic na tem urzędowem niedocenieniu, prócz nagrody oraz krzykliwej reklamy dziennikarskiej, nie traci. Projekt na ex-libris, jak każda przystosowana wyłącznie i wyraźnie do czegoś dekoracya, z chwilą nienagrodzenia, nieprzyjęcia i niezreprodukowania, przestaje istnieć poniekąd.

[2]) Czytelnicy nasi znają przepyszne to dzieło z *Chimery*, gdzie, usunąwszy za zgodą autora górny napis: *Muzeum Narodowe*, odtworzyliśmy je kilkakrotnie (Nr. 14 str 245, oraz okładki N-rów 14-go i 16-go).

cie odrębności i mocy w rysunku — zwycięzko stanąć może obok najlepszych prac Anning Bella, Ospovata, B. Shawa, C. Goldie'go, Klingera, H. Thoma, Greinera, Pankoka, Orlika, Fidusa, Donnay'a, Khnopffa, Rassenfosse'a i innych szeroko uznanych majstrów ex-libris'u, a wytrzyma porównanie nawet z przeslynnym (i przedziwnym) *Ygdrasil*'em K. Rickettsa. Czemu świetne to dzieło znakomitego naszego a zawsze niedocenianego artysty uzyskało tylko wyróżnienie zaszczytne, podczas gdy nagrodę przyznano o całe nieba niższemu, w pomyśle nieco suchemu, w rysunku wątłemu, niezdecydowanemu i nieszczeremu, w całem wykonaniu zbyt winietkowemu projektowi p. J. Bukowskiego,—długo nie mogliśmy odgadnąć. Wreszcie, widząc owe „ręce unoszące koronę ponad klepsydrą" na tytułowych kartach wszystkich publikacyj Muzeum Narodowego, a nie spotykając ich bynajmniej w odbitkach ex-libris'owych, zaczęliśmy przypuszczać, że—czy to dzięki inicyatorom, czy sędziom konkursu — zakradło się tu pewne pomieszanie terminów, że mianowicie ogłoszono konkurs na ex-libris, podczas gdy właściwie chciano mieć sygnaturę wydawniczą. Na tę ostatnią monumentalna kompozycya Mehoffera, która jako „znak własności" imponująco zdobiłaby odwroty opraw w bibiotece Muzeum Narodowego, — oczywiście przydać się nie mogła, podobnie jak znowu rysunek p. Bukowskiego, od biedy ujść mogący jako winietka tytułowa, stanowczo ginąłby jako ex-libris, zwłaszcza na licznych w tej książnicy dziełach i albumach wielkiego formatu.—Jeżeli wszakże taki był istotnie powód zdumiewającego wyroku (innej przyczyny szukaćby należało w prostej chyba nienawiści do szczerego i wysokiego piękna), jeżeli rysunek p. Bukowskiego został nagrodzony jako sygnatura wydawnicza,— to Muzeum Narodowe znaku własności bibliotecznej dotychczas nie posiada. Czy wobec tego nie powinnoby—gwoli choć częściowemu naprawieniu „pomyłki" konkursowej—starać się o pozyskanie z powrotem dzieła Mehofferowskiego? W ten sposób, jeden z najpiękniejszych ex-libris'ów świata zostałby uratowany od zapomnienia w rękopisie i zaczął istnieć w praktyce — a nie byłoby to bez chluby ani dla sztuki polskiej, ani dla Muzeum Narodowego.

Konkurs drugi ogłosili w roku ubiegłym anonimowo (za pośrednictwem uprzejmem d-ra Tadeusza Estreichera) dwaj gorliwi zbieracze i miłośnicy sztuki, pp. Adolf Sternschuss (z Krakowa) i Leopold Wellisch (z Warszawy). Anonimowość ta, z punktu widzenia istoty i wymagań ex-libris'u, zasadniczą była wadą. Dekoracyjny znak własności bibliotecznej (Bucheignerzeichen) nie może być jakimkolwiek obrazkiem z dopisanemi bylejak słowami *ex li-*

bris, oraz nazwiskiem u góry lub u dołu. Zasada sztuki stosowanej wymaga, aby rysunek odpowiadał przedewszystkiem swemu przeznaczeniu. W danym razie winien on zatem uwydatniać, do kogo książka należy oraz, że etykieta ma służyć do książek, nie zaś do czegobądź innego. Z dwu tych pierwiastków, osobistość właściciela, nowa i różna w każdym ex-libris'ie, nadaje kompozycyi cechę *par excellence* indywidualną; stanowi tedy właściwie główną jej treść, a jednocześnie otwiera wyobraźniom artystów najszersze pole. Dróg i sposobów szereg tu cały: bądź „par un plaisant rapprochement de l'image et du nom"; bądź przez rysunkową alegoryę, dewizę czy emblemat, streszczający upodobania i aspiracye specyalne danego bibliofila; bądź przez włączenie wizerunku samej osoby; bądź wreszcie przez czysto zdobnicze sharmonizowanie liter nazwiska lub jego inicyałów z liniami i barwami dekoracyi. W konkursie, gdzie przyszły właściciel ex-libris'u był niewiadomy, przeważna ta część zadania odpadała zupełnie. Można było jedynie rezerwować miejsce gwoli mniej lub więcej odpowiedniemu dostosowaniu później liter nazwiska. Kryła się w tem dla współzawodników pewna drobna zaleta praktyczna, że, mianowicie, w razie nienagrodzenia projektu, pozostawały widoki ewentualnego zużytkowania go przy innej sposobności. Z zasadniczego wszakże stanowiska, brak wyraźnego przeznaczenia odbierał z góry każdemu rysunkowi cechę *jedynej odpowiedniości*, a zarazem ograniczał fantazyę artysty do drugiej, mniej wdzięcznej, stałej w każdym ex-libris'ie i przeto nader już wyeksploatowanej połowy zadania, jaką jest uwydatnienie wyłącznego, specyalnego charakteru przedmiotu własności. I to znowu osiągnąć można dwojako: przez czysto zdobnicze powiązanie liter słowa ex-libris z linijną i barwną całością kompozycyi, albo też symbolicznie, przez motyw, temat, alegoryę czy emblemat zawarty w samym rysunku. Prawdopodobnie z powodu, iż poczucie niehistoryowanej, linią i barwą jedynie działającej dekoracyi chroma u nas jeszcze naogół, — ogromna większość konkurentów chwyciła się drugiego sposobu. Rezultatem przesmutnym—świadczącym, w dodatku do zwykłych niedolęstw i niedbalstw wykonania artystycznego, o zdumiewającym braku pomysłowości, wyobraźni, dowcipu — był zalew najbardziej wyszarzanych, wiekuistych, nieuniknionych szablonów i banalności, albo też fabrykowanych z wysiłkiem i niekiedy wprost nonsensowych rebusów. Na 40 nadesłanych projektów dwa tylko znalazły się bezwzględnie godne uwagi, którym nie zaszkodziły ani sama metoda konkursu, ani dodatkowe, przez bezimienność, jej uwadliwienie. — Autor pierwszego, p. Ant. Procajłowicz, wzorując się, ale

w szlachetny, twórczy sposób, na wycinankach i malowankach ludowych, dał pełną prostoty i umiarkowania, fantazyi i elegancyi, smaku i jędrności razem, linijną i barwną dekoracyę. Jest to jakby odrębna i świeża w formie tarcza heraldyczna, wykwitająca u góry w ciekawą, bogatą koronę, strzeżona z boków przez dwie cicho siedzące na gzémsach, stylowo wysymplifikowane ptasie sylwety, i wystrzelająca nagle z płaskiego, szerokiego brzegu dolnego fantastyczną kaskadą jakiegoś ostrokańciastego chwosta smoczego, z którym oginające się elastycznie wokół tarczy ogony tamtych strażników rozwidlonemi językami swobodnie się zbiegają. Na tarczy, skromnemi, prostotliwemi literami, słowa *ex libris* oraz nazwisko właściciela. Niewyszukane to, odruchowe jakieś, a wyraziste, krzepkie i wykwintne zarazem. Rzecz traktowana szerokiemi płaszczyznami, co do dekoracyi książkowej najlepiej się nadaje. Harmonia barw również wytworna a mocna. Cała tarcza intensywnej, ale niekrzykliwej czerwieni; kontury wszystkie, dolne ptaków połowy, oraz jakieś turmaliny, inkrustujące środek chwosta smoczego i czuby korony, — matowo czarne; litery — białe w czarnym konturze. Całość, na spokojnem szaro-bzowem tle, łatwa do sharmonizowania z najróżnorodniejszemi *vorsatz*-papierami. Rozmiary — w stosunku do dzisiejszej przewagi małych 8-ek — może nieco zawielkie. Miejsce na imię i nazwisko może nieco zaciasne. Ale to już, wobec wszystkich zalet, drobiazgi. W każdym razie jest to jeden z najsmaczniejszych i najoryginalniejszych ex-libris'ów czysto dekoracyjnych, który w każdym zbiorze wybitne zajmie miejsce. — Drugi projekt nagrodzony do symbolicznych, aluzyjnych raczej zaliczyć należy. Autor jego, p. Tad. Rychter, dążył niewątpliwie przedewszystkiem do osiągnięcia impresyi artystycznej. Zainteresowała go plama i ruch — i, starając się wydobyć je, nie myślał jeszcze zapewne o przeznaczeniu swej autolitografii na ex-libris. Trafem wszakże — i sam temat, i ów ruch pociągający artystę, nabrały w późniejszem, niespodzianem tem zastosowaniu dyskretnego, naturalnego, pozbawionego wszelkich sztucznych dociągań, jakby mimowolnego, a przedziwnie na znak własności bibliotecznej odpowiedniego znaczenia. Owa wojowniczo rozskrzydlona sowa, z jednej strony przez odwieczny stosunek jej rodu z Ateną, z drugiej zaś przez pogróżkowy charakter rozmachu, którym zda się bronić powierzonego straży jej przedmiotu, — stanowi doskonały emblemat w etykiecie książkowej, a niewymuszeniem swem i jakimś wdziękiem przypadkowości odbija szlachetnie i zwycięzko od niepoliczonych sztywnych sów siedzących z urzędu na księgach (częstokroć nawet u majstrów ex-libris'u, że wymie-

nię tylko Orlika), oraz od wszelakich zwierząt van Muyden'owskich, będących raczej winietkowo-historyjkową ilustracyą, suchym przekładem na rysunek jakiejś słownej dewizy czy anegdoty. Jako autolitografia jest to jedna z wiele obiecujących produkcyj najmłodszej grafiki polskiej, śmiała i oryginalna w całem traktowaniu, a w kolorach nader miła i do celów ex-libris'owych ze wszech miar podatna. Napis, później dodany, zbyt może tło zapycha; litery mogłyby być dyskretniejsze, a nie tak sucho szablonowe.

Z produkcyi pozakonkursowej, opartej na bezpośredniem skomunikowaniu się właściciela książnicy z trafiającym mu do przekonania artystą, — mamy do zanotowania tylko ciekawe akwafortowe ex-libris'y p. Fr. Siedleckiego, wykonane dla d-ra J. Drzewieckiego, prof. Wł. Heinricha i p. J. Lorentowicza. W pierwszym z nich (który, jako istniejący już w odbitkach ostatecznych, sam jeden omówieniu podlegać może) artysta, w symbolicznej kompozycyi, zawarł aluzyę do najbogatszego w księgozbiorze i najbardziej umiłowanego przez właściciela działu wiedzy tajemnej (alchemii, magii, kabały, filozofii indyjskiej, gnozy i mistyki). W głębi czystą światłością promienieją, strzeżone z obu stron przez uskrzydlone sfinksy, wrota memfickie, na zasłonie których zarysowuje się imię najwyższe (jod-he-wau-he) oraz zawarta w kole gwiazda pentagramu. Na pierwszym planie, ciemną, materyalniejszą plamą, tamują ku bramie tej dostęp: kobieta (nieco *modern*) o fascynujących oczach i ciemnym płomyku nad czołem, oraz leniwie i bezmyślnie gotowe ledz w poprzek wszemu cielsko jaszczura. Koncepcya nawet dla profanów dość wyrazista, dla świadomych zaś — interesująca aż do szczegółów, zwłaszcza ze względu na śmiałe, nieszematyczne traktowanie. Całość objęta migotliwą, swobodną ramką barokową, z za której dolnego brzegu wychyla się jak gdyby szerokie passe-partout z dyskretnie stonowanym napisem. Co do kwasorytu samego, — pragnęlibyśmy może tu i ówdzie większej energii i solidności w rysunku, ale za to raz jeszcze stwierdzić musimy, że pod względem specyalnych „smaków“ akwafortowych, osiąganych przez umiejętne kolejne wytrawianie, mało kto u nas p. Siedleckiemu wyrówna. Odbitki paryskiej Imprimerie Salmon — jak zwykle — znakomite.

Oto całe żniwo nowych polskich ex-libris'ów artystycznych. Jak widzimy, pokaźne jakościowo. Liczebnie za to nader niewielkie. Mamy zatem doskonałych wytwórców, ale brak nam amatorów. I nie dziw. Potrzeby estetyczne człowieka tak długo traktowano u nas jako zbytek i na ostatnie spychano plany, że dziś, acz znowu

kiełkować zaczynają, ale powoli i z trudnością. Gardłuje się dziś wiele o sztuce stosowanej, ale mało kto pamięta, iż zasadą jej i dążeniem jest nadać cechę piękna *każdej*, najmniejszej rzeczy w naszem otoczeniu. To też co chwila dysonanse wybuchają jaskrawe. W naszym zakresie — iluż to ludzi, już umiejących smakować w pięknych drukach, nie waha się zepsuć ich banalnym lub niesmacznym znakiem własności? Ileż bibliotek, nawet okazalszych, magnackich, pochlubić się zdoła własnym ex-libris'em *artystycznym?*

Może dla kogo przykładem i zachętą się staną trzy ostatnie wytwory sztuki polskiej w tym kierunku, które — za zgodą autorów i właścicieli — dołączamy w zeszycie niniejszym (str. 117, 140 i 146) w oryginalnych odbitkach autolitograficznych i akwafortowych.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — K. D. Balmont. *Sobranje stichow.* Tom I. Moskwa. Knigoizd. „Skorpion."—E. Dantinne. *Les rythmes de douceur.* L'édition artistique. Liege.—Deotyma. *Sobieski pod Wiedniem.* Cz. III i IV. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Jankowski. *Skoczek.* Kraków. Druk. Uniw, Jagiell. — J. Jankowski. *Zwrotki.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — S. Jasiński. *Poezye.* T. I. Lwów. J. Chęciński. — B. Knösl. *Hrziczky s nebem i srdcem.* V Praze. Bursik a Kohout. — M. Konopnicka. *Poezye.—Przekłady.* T. VI. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Krasiński. *Pisma.* T. I—VI. Lwów. Księg. Polska.— Fr. Kvapil. *Když kvetly maky.* Praha. J. Otto. — Jan Lemański. *Colloquia albo rozmowy.* Lwów. Tow. Wydawn. — W. Rolicz Lieder. *Nowe wiersze.* (Wydane jako rękopismo). W. L. Anczyc i Sp. — J. Marcinowska. *Ogniwa.* Lwów. H. Altenberg. — J. Marcinowska. *Przebłyski.* Kraków. Anczyc i Sp. — H. Ochenkowski. *Klucz.* Kraków. Nakładem autora. — J. Pietrzycki. *Refleksy światła.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — J. Przecławska. *Dusza.* Warszawa. P. Laskauer i Sp. — J. Rokyta. *Pouta a peruti.* Praha. F. Szimaczek. — *Schwedische Lyrik.* Deutsch von H. v. Gumppenberg. München. Dr. J. Marchlewski. — E. Słoński. *Okruchy.* Wilno. J. Zawadzki.— E. Słoński. *Pieśń nad pieśniami.* Warszawa. M. Borkowski. — A. Stodor. *Adoracya.* Stanisławów. A. Staudacher i Sp. — A. Stodor. *Jawnogrzesznica.* Stanisławów. R. Jasielski. — K. Woyczyński. *Poezye.* T. II. Kraków. D. E. Friedlein. — K. Wroczyński. *Circenses.* Warszawa. Centnerszwer i Sp.

POWIEŚĆ. — G. d'Annunzio. *Romanse Lilii— — Dziewice skał.* Lwów. Księg. Polska. — J. Augustynowicz. *W pryzmacie.* Warszawa. Centnerszwer i Sp. — M. Barrès. *Wyrwani z gruntu ojczystego.* Cz. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — F. Brodowski. *Liote.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Conrad. *Lord Jim.* T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Czechow. *Opowiadania.* Warszawa. M. Borkowski.— M. Czerny. *Dno Lety.* T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Dygasiński. *Lebensfreuden.* München. Dr. J. Marchlewski. — F. van Eeden. *Mały Janek.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Flaubert. *Salammbo.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wyb. — A. France. *Wybór pism.* Tom. II. *Gospoda pod królową gąską.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — K. Gliński *Boruta.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Gorkij. *Troje.*

Tom I i II. Kraków D. E. Friedlein. — V. v. Heidenstamm. *Hans Alienus*. München. Dr. J. Marchlewski. — Helia (M. Cz. Przewóska). *W nieskończoność*. Warszawa. Druk S-ów St. Niemiry. — T. Jaroszyński. *Chimera*. 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Jokai. *Biała dama z Liwoczy*. Cz. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Konopnicka. *Na normandzkim brzegu*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Krechowiecki. *Mrok*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — J. Lie. *Ulwungowie* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — *Listy, które go nie doszły*. Przekl. J. Milczyńskiej. Lwów. H. Altenberg. — Guy de Maupassant. *Na wodzie*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Menszik. *Kralovna mych snu*. Trenczyn u Bakova. Revue „Dvacaty viek." — A. Miller. *Trzy cmentarze*. Warszawa. J. Fiszer. — M. Mutermilch. *Żydzi*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa i J. Romski. *Ad astra*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — S. Nałęcz Ostrowski. *Przed burzą*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Pawlikowski. *Obrazki i opowiadania*. T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — S. Pilecki. *Historya ubogiej panny*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. hr. Piniński. *Nowiny*. Lwów. H. Altenberg. — St. Przybyszewski. *Synowie Ziemi*. Lwów. Księg. Polska. — St. Przybyszewski. *Syny ziemli*. Moskwa. Knigoizd. „Skorpion." — M. Rodziewiczówna. *Dewajtis*. Trzy części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca." — M. Rodziewiczówna. *Klejnot*. 3 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Gjems-Selmer. *Nad dalekim, cichym fjordem*. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — W. Sieroszewski. *Powrót*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. A. Szimaczek. *Obrazki z życia*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Kaz. Przerwa-Tetmajer. *Zatracenie*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Jan Wroczyński. *Gawoty gwiezdne*. Lwów. H. Altenberg. — *Wybór nowel francuzkich*. Przekl. M. Rakowskiej. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Zapolska. *„A gdy w głąb' duszy wnikniemy."* T. I, II i III. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Zapolska. *Sezonowa miłość*. T. I, II i III. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Zapolska. *Modlitwa Pańska*. Lwów. Polskie Towarz. Nakładowe. — H. Zbierzchowski. *Na złotej przełęczy*. Lwów. Księg. Polska. — *Z jednego strumienia*. Szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedm. E. Orzeszkowej. Warszawa. E. Wende i Sp. — A. Znamirowski. *Śmierć*. Kraków. G. Gebethner i Sp. — S. Żeromski. *In Schutt und Asche*. Band I u. II. München. Dr. J. Marchlewski. — W. Żmudzki. *Z pamiętnika psychopaty*. Lwów. Księg. Polska. — W. Żmudzki. *Księga Bytu*. Lwów. Księg. Narodowa.

TEATR. — J. German. *Lilith*. Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — M. Golberg. *Prométhée Repentant*. Reims. Edition de la Jeune Champagne. — J. Kasprowicz. *Uczta Herodyady*. Lwów. H. Altenberg. — W. Lewicki. *O inne życie*. Kraków. Nakł. autora. — A. N. Nowaczyński. *Siedm dramatów jednoaktowych*. Lwów. Księg. Polska. — A. N. Nowaczyński. *Smocze gniazdo*. Warszawa. Centnerszwer i Sp. — L. Staff. *Skarb*. Lwów. Księg. Polska. — G. Zapolska. *Jojne Firułkes*. Kraków. D. E. Friedlein.

STUDYA LITERACKIE. — S. Brzozowski. *O Stefanie Żeromskim*. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — J. Jankowski. *„Samuel Zborowski" J. Słowackiego*. Kraków. Druk. Uniwers. Jagiell. — Dr. J. Kallenbach. *Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838)*. 2 tomy. Lwów. Księg. Polska. — J. Leneveu. *H. Ibsen*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — D. Mereżkowski. *Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie*. Lwów. Polskie Tow. Naklad. — Dr. W. Rubczyński. *John Ruskin. Studya nad powiązaniem i uzasadnieniem jego głównych pomysłów*. Kraków. Nakł. autora. — T. Sierzputowski. *Romantyzm polski*. Warszawa. J. Fiszer. — K. Sosnowski. *Poezya Krakowska*. Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — M. Zielewiczówna. *Amerykański filozof poeta (Ralf Waldo Emerson)*. Warszawa. E. Wende.

STUDYA ESTETYCZNE. — Prof. R. Muther. *Historya malarstwa*. Cz. III, IV i V. Warszawa. J. Fiszer. — A. Roux. *Życie artystyczne ludzkości*. Warszawa. Ge-

bethner i Wolff. — J. Tenner. *Estetyka żywego słowa.* Lwów. H. Altenberg. — J. Warchałowski. *O sztuce stosowanej.* Kraków. Nakł. Tow. „Polska Sztuka Stosowana."

WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE. — K. Sichulski. *XXX karykatur.* Kraków. W. Teodorczuk i Sp. — *Sztuka polska. Malarstwo.* Sześćdziesiąt pięć reprodukcyj najwybitniejszych przedstawicieli. Pod kierownictwem F. Jasińskiego i A. L. Cybulskiego. Lwów. H. Altenberg.

NAUKI FILOZOFICZNE. — K. Lasswitz. *Gustaw Teodor Fechner.* Warszawa. Wyd. „Przeglądu Filozoficznego." — H. Lichtenberger. *Fr. Nietzsche i jego filozofia.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — S. Saenger. *John Stuart Mill.* Warszawa. Wyd. „Przeglądu Filozoficznego." — H. Siebeck. *Arystoteles* Wyd. „Przeglądu Filozoficznego. — Dr. J. Vaihinger. *Filozofia Nietzschego.* Lwów. H. Altenberg.

KWESTYE SPOŁECZNE. — E. Demolins. *Potęga wychowania.* Cz. I i II. Warszawa. Wyd. Bibl. Dz. Wyb. — L. Braun. *Historya rozwoju ruchu kobiecego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Key. *Miłość i Małżeństwo.* Warszawa. M. Borkowski. — Dr. K. Niedzielski. *Słówko w sprawie feminizmu.* Warszawa. P. Laskauer i Sp. — M. Osmala. *O racyonalnym rozwoju kredytu dla rzemieślników w Królest. Pol.* Warszawa. Nakł. autora. — A. Parczewski. *A survey of the language map of Europe and a sketch of an International Peace Union for the Protection of Linguistic Minorities.* Paris. Paul Geuthner.— R. Penzig. *Jak odpowiadać na pytania dziecięce.* Warszawa. M. Borkowski. — Fr. Queyrat. *Gry i zabawy dziecięce.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Dr. S. Rundstein. *Studya i szkice prawne.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — G. Simmel. *Jak się utrzymują formy społeczne?* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — Światlomir. *Ciemnota Galicyi.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — G. Tarde. *Opinia i tłum.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Tardieu. *Znudzenie.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — H. G. Wells. *Wizye przyszłości.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Zdziechowski. *„Pestis perniciosissima."* Warszawa. E. Wende i Sp.

DZIEJE KULTURY. — Ks. H. Kołłątaj. *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (1750—1764).* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Dr. J. Muczkowski. *Kościół św. Franciszka w Krakowie.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — J. Ptaśnik. *Obrazki z przeszłości Krakowa.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa.—M. Rawita-Witanowski. *Kłodawa i jej okolice.* Warszawa. Wyd. Kasy Dr. J. Mianowskiego. — S. Tomkowicz. *Bielany.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — Dr. S. Tomkowicz. *Tyniec.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — *Rocznik Krakowski.* T. V. Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa.

HISTORYA. — K. Landmann. *Napoleon I.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Rembowski. *Spadek piśmienniczy po gen. Maurycym hr. Hauke.* Warszawa. E. Wende i Sp.

PAMIĘTNIKI. — H. Keller. *Historya mego życia.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Siemens. *Wspomnienia z mego życia.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — K. Tański. *Piętaście lat w legionach.* Warszawa. E. Wende i Sp.

ETNOGRAFIA. PODRÓŻE. — R. Kipling. *Listy z Japonii.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Kłośnik. *Japonia.* Lwów. Nakł. Tow. Wydawniczego. — M. Ratuld-Rakowska. *Podróż Polki do Persyi.* T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Wacław Sieroszewski. *Korea. Klucz dalekiego wschodu.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

NAUKI PRZYRODNICZE. — W. Bölsche. *O pochodzeniu człowieka.* Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — Dr. A. Combe. *Nerwowość u dzieci.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Leduc. *Telegraf bez drutu.* Warszawa. E. Wende i Sp. — E. Metschnikoff. *Studya nad naturą ludzką.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Tur. *Potwory w średniowieczu.* Warszawa. P. Laskauer i Sp. — *Wszechświat i człowiek.* Zeszyt I. Warszawa. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. — *Myśl.* Księga zbiorowa wydana staraniem Redakcyi „Ogniwa." Warszawa.

VARIA. — A. N. Nowaczyński. *Skotopaski sowizdrzalskie.* Kraków. Drukarnia Narodowa.— *Sprawozdanie Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana."* Z. I i II. Kraków. Nakł. Tow. „Polska Sztuka Stosowana." — *Wystawa drukarska w Krakowie.* (Katalog). Kraków. Nakl. Tow. „Polska Sztuka Stosowana."

VARIA.

PROTOKÓŁ posiedzenia komisyi sędziów WYSTAWY DRUKARSKIEJ, urządzonej przez Towarzystwo „POLSKA SZTUKA STOSOWANA" w palacu hr. Czapskich przy ul. Wolskiej w Krakowie. Dnia 17 Lutego 1905 r. — —

Skład sądu: pp. Wacław Anczyc, właściciel drukarni, Dr. Artur Benis, delegat Izby Handlowej i Przemysłowej, prof. Józef Mehoffer, artysta-malarz, Dr. Władysław Mięsowicz, delegat c. k. Starostwa, Stanisław Szwejcer, zecer w drukarni Fiszera, prof. Jan Stanisławski, artysta-malarz, i Edward Trojanowski, artysta-malarz. — Przewodniczył prof. Jan Stanisławski. Protokół prowadził sekretarz T-wa Jerzy Warchałowski.

Komisya miała do rozdania 3 medale srebrne i 6 bronzowych, przyznanych wystawie przez c. k. Ministerstwo handlu, nadto nagrody pieniężne Wydziału krajowego dla pracowników drukarskich.

Po dokładnem zapoznaniu się z materyałem i po wyczerpującej dyskusyi, komisya powzięła następującą uchwałę:

Z pośród zakładów drukarskich, które wzięły udział w wystawie, wyróżnia się poważnem traktowaniem drukarstwa, pierwszorzędnemi zaletami zarówno technicznego wykonania jak i artystycznego układu całości

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Korzystając z prac artystów: Stanisława Wyspiańskiego i Jana Bukowskiego, w osobie tego ostatniego pozyskała nadto stałego artystycznego kierownika. Drukarni tej przyznano *medal srebrny.*

Artystą, który drukarstwo współczesne polskie pchnął na tory prawdziwej sztuki jest p. Stanisław Wyspiański w Krakowie. Poczynając od tygodnika „Życie", którego typ artystyczny stworzył, aż do ostatnich licznych własnych wydawnictw, nadaje on dziełom swoim odrębny wyraz, nie ograniczając się do rysowania ozdób i winiet, lecz układając osobiście po drukarsku całą książkę. P. Wyspiańskiemu przyznano *medal srebrny.*

P. *Jan Bukowski,* z Krakowa, podobnie jak Wyspiański pojmuje zadanie artysty w zakresie drukarstwa. Poświęciwszy mu się

specyalnie, będąc nadto stałym kierownikiem artystycznym drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, zasila swemi pracami, zarówno rysunkowemi jak i wzorowemi kompozycyami drukarskiego układu książki, wszystkie niemal wybitniejsze drukarnie polskie. P. Janowi Bukowskiemu przyznano *medal srebrny*.

Z wydawnictw reprezentowanych na wystawie, PIERWSZE MIEJSCE zajmuje „CHIMERA" miesięcznik wydawany i redagowany przez p. Zenona Przesmyckiego w Warszawie, drukowany w warszawskiem Towarzystwie Akc. Art. Wyd. (obecnie Tow. Akc. S. Orgelbranda i Synów). JEST TO JEDYNE WYDAWNICTWO PERYODYCZNE W POLSCE, KTÓRE, dbałością o artystyczny układ całości, o dokładne odbijanie klisz, o całą stronę ilustracyjną, papier, czystość druku, STOI NA POZIOMIE NAJWYŻSZYCH WYMAGAŃ WSPÓŁCZESNYCH ZARÓWNO ARTYSTYCZNYCH JAK I TECHNICZNYCH. Ze względu na warunki, w jakich powstało, na trudności natury technicznej, które mu stały na przeszkodzie, na szczęśliwe przełamanie istniejącego szablonu, ma wydawnictwo „CHIMERY" zasługi niepospolite, ZNACZENIE DLA ROZWOJU POLSKIEGO DRUKARSTWA PIERWSZORZĘDNE. Oddziaływanie „CHIMERY" nie ogranicza się do Warszawy, lecz znalazło również oddźwięk w Krakowie, wpływając i tutaj niewątpliwie na wzmożony ruch w zakresie drukarstwa; nadto korzysta „CHIMERA" z licznych prac artystów krakowskich. Dla tych względów, mimo, że podług regulaminu Ministerstwa handlu, firmy pozakrajowe o nagrody państwowe ubiegać się nie mogą, komisya, uznając, że „CHIMERA" zasługuje na ODZNACZENIE PIERWSZORZĘDNE, uchwaliła prosić Ministerstwo handlu o przyznanie jej dodatkowego medalu srebrnego, drogą wyjątku, przewidzianego regulaminem[1]).

Liczne wydawnictwa beletrystyczne, odbijane w *Drukarni Narodowej (N. Telca)* w Krakowie, odznaczają się czystością druku, starannością układu i artystycznemi okładkami i ozdobami, których dostarczają artyści. — Drukarni narodowej przyznano *medal bronzowy*.

Drukarnia Władysława Teodorczuka (A. Ripper) w Krakowie, specyalizująca się w tak zwanych robotach akcydensowych i wyko-

[1]) „Nagrody rządowe Ministerstwa handlu mają być oznakami uznania za znakomite prace zdziałane przez reprezentantów *krajowego* przemysłu i rękodzielnictwa... Jeżeli komisya wystawowa jest tego zdania, że zasługi zagranicznego uczestnika wystawy albo sprzedawcy usprawiedliwiają obdarzenie go nagrodą rządową Ministerstwa handlu, winna przedstawić ten przypadek Ministerstwu handlu." *(Rozporządzenie Ministerstwa handlu z dnia 10 czerwca 1873. Punkt 6.* — Nr. 80 Dziennika ustaw państwowych).

nywaniu odbić jedno i wielobarwnych za pomocą płyt wyciętych w linoleum, wykazuje wielką ruchliwość, dbałość o dokładność odbić i o artystyczne ozdoby o charakterze swojskim. Drukarni Wł. Teodorczuka przyznano *medal bronzowy*.

Księgarnia H. Altenberga we Lwowie przedstawia rzadki u nas typ firmy wydawniczej, dbającej o estetykę książki. Posługując się w tym względzie często pracami artystów, osiąga również dobry rezultat techniczny przez powierzanie druku pierwszorzędnym zakładom. Firmie H. Altenberga przyznano *medal bronzowy*.

Za wystawione prace (rysunki, układ drukarski książek i t. d.) przyznano również *medale bronzowe* następującym artystom: Stanisławowi Dębickiemu ze Lwowa, Karolowi Fryczowi z Krakowa i Henrykowi Uziembło z Krakowa.

Ponieważ pp.: Eugeniusz Dąbrowa Dąbrowski i Antoni Procajłowicz z Krakowa za prace swoje drukarskie zasługują również, zdaniem komisyi, na podobne odznaczenia, medali jednak więcej komisya do dyspozycyi nie miała, uchwalono prosić Ministerstwo handlu o dodatkowe *medale bronzowe* dla dwóch wymienionych artystów.

Po wyczerpaniu odznaczeń Ministerstwa handlu uchwalono rozdzielić *nagrodę pieniężną Wydziału Krajowego* pomiędzy pracowników: Drukarni W. L. Anczyca i S-ki pp.: Franciszka Junego i Franciszka Kocha; Drukarni Narodowej (N. Telca) pp.: Rudolfa Blausztejna i Marka Schlaefriga; Drukarni Władysława Teodorczuka (A. Ripper) pp.: Alberta Botko, Tadeusza Kolkiewicza, Franciszka Remberkowskiego, Ottona Szedenika, Karola Seyfrieda, Henryka Taulmanna, Franciszka Zemaneka; Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pp.: Ludwika Królikowskiego i Karola Topińskiego.

Za dobrze odbite afisze artystyczne jedynej reprezentowanej na wystawie *Litografii A. Pruszyńskiego* w Krakowie, komisya, nie rozporządając już odznaczeniami Ministerstwa handlu, uchwaliła dać zakładowi A. Pruszyńskiego *list pochwalny od komitetu wystawy*.

Nie ubiegali się o nagrody, jako członkowie jury: Drukarnia W. L. Anczyca i S-ki, pp.: Józef Mehoffer, Edward Trojanowski i T-wo „Polska Sztuka Stosowana."

Komitet wystawy składa niniejszem podziękowanie komisyi Sędziów, nadto p. Wacławowi Anczycowi za bezinteresowne wydrukowanie katalogu i p. Władysławowi Teodorczukowi za również bezinteresowne odbicie afisza.

CHIMERA.